Nr. 22. Lwów, Niedziela dnia 28. Maja 1876 r. **Rok III.**



TOM III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego w POZNANIU.**
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXI.

Nowy Walenrodyzm.

W piśmiennictwie naszem — a na ten raz rozumiemy przez nie tylko galicyjskie — poczęły od niejakiego czasu coraz częściej ukazywać się objawy myśli, która jakkolwiek w całej swej rozciągłości jest szpetną i niegodną, daje nam jednak pewną pociechę. Mamy tu na względzie ultramontańskie płody szerszeni, których głównem gniazdem Kraków. Płody te przed laty dziesięciu lub dawniej, gdy opinja ogółu była na swoją szkołę czujniejsza, podrażniona i surowsza, nie śmiały wychylać się nago i zawsze występowały w takiej sukience patrjotycznych pozorów, która nie pozwalała dostrzedz przykrytego nią sumienia. Dziś gdy głos publiczny osłabł w swojej uwadze i rozstrzelił się w kierunku najprzeróżniejszych dążeń, które pochłonęły całą jego baczność, sterroryzowane nim tendencje podniosły śmiało zasłonę. Taka jest geneza *Czasów, Przeglądów Polskich, Lwowskich, Filozofji dziejów polskich, Irlandji i Polski.* Powiedzieliśmy, że ten piśmienniczy kierunek, obok całej swojej szkarady, nie jest dla nas bez wartości, sam bowiem bez niczyjej pomocy sprowadził swoje zasady do socjalnego, politycznego i moralnego *absurdum.* Trzeba bardzo długo nieraz czekać, ażeby jakaś szkoła, system, opinje rozwijając się konsekwentnie same zdyskredytowały się tak widocznie, jak to dziś z galicyjskim ultramontanizmem ma miejsce. W uwadze tej pozwalamy sobie małego optymistycznego złudzenia. Przypuszczamy bowiem, że nie cała ultramontańska partja składa się z ludzi, którzy czując delikatnym węchem powiew nadziei od Wschodu, ś w i a d o m i e zwracają się w tę stronę. Że takich jest wielu, o tem ani na chwilę wątpić nie można. Jezuityzm ma wszystkie zmysły bardzo czułe, a polityczny węch przedewszystkiem. Żeby zaś wtedy, gdy mu się jakaś gwiazdka z poza czarnych chmur uśmiechnie i wskaże nawet najbardziej krętą drogę i najmniej uczciwą metę, miał za nią nie pobiedz, to przechodzi jego moralne siły. Chociaż to na pozorną sprzeczność zakrawa, powiemy, że jezuityzm zdolny jest na chwilę przestać być sobą we wszystkich odcieniach, ażeby później tem swobodniej się rozrastać, gotów przestać być religijnym, aby mógł być fanatycznym. Ród Lojoli nie czerpie swych sił w religji, bo ta wzgarda, szyderstwa, klątwy, jakie na niego spadły, już dawno by go wytępiły. Jedynym gruntem na jakim porasta i utrzymać się może, jest szerokie, jak przeszłość dawne, jak przyszłość nieskończone zepsucie ludzkie. To jest jego zasiew — niczem niedający się zniszczyć — nieśmiertelny. Gdyby ludzkość mogła być przez jednę dobę przynajmniej tak uczciwą, żeby brat brata tajemnie lub jawnie zabić nie chciał, przez całą tę dobę nie mielibyśmy Jezuitów, chociażby nieustannie nad nami najbardziej krwiożercze bogi starożytności królowały. Jezuityzm więc jest niczem innem, jak tylko ciągłym w faryzejskie pozory przebranym spiskiem najzdradliwszych instynktów człowieczej natury. Myliłby się bardzo, ktoby sądził, że wyłączną sferą jego operacji jest kościół. Ile tylko jest dziedzin społecznego życia, na tylu drogach stawia swe sidła. Dość przeczytać wyżej wymienione elaboraty, aby się przekonać o jego wszechstronności. Kto w nich działa i przemawia z ś w i a d o m y m zamiarem upodobnienia się do antipolskich dążeń w Rossji, a kto dochodzi do tegoż samego celu n i e ś w i a d o m i e pociągnięty jedynie drogą powinowactwa jakie zawsze istnieje między nieprzyjaciółmi tejże samej narodowości — orzec trudno. To jest — mówiąc językiem przykładu — trudno zdecydować czy pp. Skrochowski lub Siemieński, Domagalski lub Walewski z zupełną samowiedzą operują swemi opinjami na sympatję propagandy antipolskiej, a zwłaszcza rossyjskiej, czy też służą jej mimo woli. Sądząc hipotetycznie zdaje się, że większość rycerzy tego pułku nie walczy tak bezinteresownie, z pominięciem procentów od kapitału wyłożonego na antinarodową spekulację, jak by to się na pozór zdawało. Do tego bowiem wniosku upoważnia cała zgodność zasad jaka istnieje między ultramontanizmem krakowskim a systematem rządowym w Polsce. Zakomunikowano nam z różnych stron mnóstwo przykładów tej zgodności. Jak wiadomo ultramontańskie publikacje w Galicji zohydzają powstanie — toż samo robił dawniej *Dziennik Warszawski,* toż samo robi dziś nieprzyjazna nam prasa rossyjska i wszystkie organa urzędowe. Na jednym szczególnie fakcie uwydatnia się to najbardziej. Jak wiadomo czytelnikom naszym, komisja konkursowa krakowska nagrodziła w roku zeszłym dramatyzowany paszkwil na rewolucję 1863 r. Prasa warszawska posłyszawszy o tem zatrzęsła się z oburzenia i postanowiła koniecznie ze swej strony zaprotestować. Wyraźnie jednak tego niepodobna było uczynić, bo w obronie *Dramatu bez nazwy* stanęła warszawska cenzura. To był utwór napisany według jej najidealniejszych wymagań — na walkę więc z nim pozwolić nie mogła. Gdy tak napróżno kuszono się o napiętnowanie politycznego przeniewierstwa, udało się jednemu z tygodników dotknąć z lekka ów dramat nie wymieniając nawet jego tytułu. Cenzor zakrytego pocisku nie dostrzegł, ale pokazał mu go wkrótce *Czas,* czego rezultatem było zawieszenie owego tygodnika. Czy to nie solidarność interesów i zasad? Przed kilku laty nie wolno było w Warszawie nawet wspomnieć wyrazu *Czas,* dziś wolno jawnie brać go za źródło. A jakie pisma mają w Rossji debit? Głównie *Przegląd Polski.* Napiszcie cośkolwiek w korespondencji z Galicji przeciw Siemieńskiemu, Goljanowi, Walewskiemu, Domagalskiemu — zobaczycie jakie wam cenzura da ostrzeżenie. To są jej faworyci lub sprzymierzeńcy. Przed kilku miesiącami nie pozwoliła ani jednem słowem wystąpić przeciw Ledóchowskiemu. Zkąd pochodzi ta opieka? Dla czego gusta warszawskiej cenzury i ultramontańskiej prasy w Galicji tak z sobą harmonizują? Przecież to nie może być przypadkowem, zwłaszcza, że powtarza się przy każdej niemal sposobności. Jakiś tam krakowski dudek, o którym nawet autor dzieła *Geschichte der menschlichen Dummheit* nic nie wie, oburzał się w całej swojej długości na policję za to, że nie rozpędziła tłumów zgromadzonych na pogrzebie Goszczyńskiego. *Czas* również postawił swoje szare sumienie w kolizji z cieniem wiel-

kiego człowieka. Cenzura warszawska dostrajając się do tych głosów i spełniając życzenia głupowatych Lolów nie pozwoliła nic pisać o Goszczyńskim „wyjąwszy to, że się urodził i umarł.“ Zkąd więc i tym razem pochodzi solidarność interesów? Z przypadku? Bynajmniej! Przed kilku miesiącami jeden z procarzy *Czasu* rzucał kamyki na Słowackiego odarłszy go przytem z poetyckich godeł. W podobny zupełnie sposób postępuje warszawska cenzura, która Słowackiego uważa za tak dalece nienarodowego poetę, że na afiszach *Mazepy* pozwala pisać tylko: „przez J. S.“ Zkąd ta solidarność?

Ale dość tych pytań i faktów, z których każdy wyciska się na życiu naszem jak krzywdzące znamię. Zastanówmy się chwilę nad niemi. O ile te antinarodowe tendencje, jakie ujawnia krakowski ultramontanizm, są dziełem rozmyślnem i na przyszłe z nich zarobki obrachowanem, nie potrzebujemy się zbyt długo rozwodzić, co one warte i jaka im się nazwa należy. Narodowe przeniewierstwo nie jest zjawiskiem nowem, każda więc uczciwość zna wszystkie wydane na niego wyroki. Inaczej rzecz się ma z apostazją mimowolną. Nie ulega wątpliwości, że wielu z oszczerców naszego powstania doszło do swej opinji całkiem niezależnie od *Dziennika Warszawskiego*. Czy my jednakże mamy dla tego podobne występy usprawiedliwiać? Gdy nas tygrys napadnie do współki z hyeną, nie będziemy na to zwracać uwagi, że hyena należy do innego niż tygrys rodzaju i że każde z osobna na nas czatowało, lecz równie będziemy się starali zabić jedno jak drugie. Może sobie *Czas* nie być w porozumieniu z *Dziennikiem Warszawskim*, a p. Siemieński z Ryżowem, ale to nie zmienia faktu, że oba te organa i obaj ci ludzie są nieprzyjaciółmi idei polskiej w tej postaci, w jakiej się ona przez cały bieżący wiek objawia. Co znaczy, czy zaraza przychodzi do nas z pod Kremlina, czy z pod Wawelu, jeśli tylko jest zarazą? Co znaczy, że p. R. był zawsze Rossjaninem, a p. S. udawał kiedyś Polaka, jeśli dziś obaj pracują dla jednej sprawy? Przedmiotem miłości i szacunku dla naszych uczuć są nasze przeszłe walki, cierpienia, niodola, nasi mistrze, nasza prasa na polu wiedzy — wszystkiem tem poniewiera ultramontanizm krakowski zaciekłej, niż wszystkie rossyjskie cenzury. Jakkolwiek nasi wielcy poeci mogą nie zasługiwać na sympatję rossyjskiego rządu, mimo to żaden z jego członków, przez prostą obawę narażenia się na zarzut idjotyzmu i barbarzyństwo, nie poważyłby się powiedzieć, że Słowacki w przekładzie skompromituje nas przed Europą, lub że pogrzeb Goszczyńskiego policja rozpędzić była powinna. A jednak odważają się na to Stańczyki. Gdyby nie te i owe jednostki, gdyby nie szczupłe kółka ludzi wypowiadających od czasu do czasu swe gorące przywiązanie do kraju, doprawdy można by zwątpić w godność galicyjskiego społeczeństwa, która pozwala pod patrjotyczną maską znieważać narodowy honor. Trzebaż już raz zdecydować się na przekonanie, że ród Lojoli nie jest szczepem polskim, nie pracuje dla Polski i nie dba o nią! Nie należy go traktować jako religijny lub społeczny, ale jako nieprzyjacielski obóz. Dla nas nie jest kwestją, jak spożytkować Jezuitów, a tylko — jak ich wytępić. Bo nie jest to składnik równoważny Żydom lub Ormianom, którzy w odpowiedni stosunek do narodu wprowadzeni, mogą stać się dla niego użyteczni. Jezuityzm, ultramontanizm, stańczykowstwo jest tem, czem jest społecznie biorąc prostytucja, lichwa lub publiczne oszustwo. Powinniśmy więc myśleć nad niem jak nad każdą socjalną chorobą i starać się ją wszelkiemi siłami usunąć. Naród nasz grzeszył w przeszłości wszystkiemi wadami, ale bardzo rzadko, prawie nigdy nie grzeszył brakiem poczucia wolności. Jezuityzm gwałci tę pierwszą, a w obecnej cywilizacji najkardynalniejszą cnotę narodową, wprowadza fanatyzm, ciemnotę, podszczuwa najgorsze instynkta mas i pod zasłoną patrjotycznego kłamstwa chce nas wprowadzić na tę polityczną drogę, na której już tylokrotnie upadliśmy i na której czeka nas niewątpliwie zguba.

Spekulowanie na ludzkiej niewiadomości, wyzyskiwanie naiwnej wiary — zawsze mieć dla siebie będzie koło operacji szczęśliwych. Ale nie myśl obłudny żywiole, nie spodziewajcie się fareyzusze ochrzczeni imieniem błazna, który was w moralnej mierze nieskończenie przerastał, ażeby wam się udało skrycie podejść i osidłać łatwowierny naród nie zbudziwszy żadnej jego placówki. Mimo Walewskich, Siemieńskich, Podolskich, Goljanów i Domagalskich zawsze znajdą się tacy, którzy odsłonią wasze knowania i podkopy, przez które chcecie nas zaprowadzić nad Newę. Jeśli wam za waszą robotę czegośkolwiek życzyć warto, to życzymy ażebyście szachrajsko przestali grać na jezuickiej loterji, bo może wam się nawet stawki waszego mozołu nie wrócą. Żeście dla powodzenia obłudy wyuczyli się patrjotycznego języka, to nie dosyć, trzeba jeszcze, ażeby z niego nie wyglądały wrogie zamiary. Znamy się na jezuickim walenrodyzmie... nie dostaniecie buławy wodzów!

CHRZEST POLSKI.

Powieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach
przez
J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

CZĘŚĆ TRZECIA.
Emigrant i wygnaniec.

VII.

Ogromne są przestwory caratu, ale przestrzeń, którą przy pieniądzach w ciągu pięciu dni przebyć w nich można, jest także dosyć znakomita. Nie mogła wprawdzie Konstancja narażać dziadka swojego na tę jazdę szaloną, jakiej używali wysyłani z depeszami kurjery carscy, chociaż każdy mógł jej sobie pozwolić kto na stacji pocztowej dobry trynkgeld przyrzekł woźnicy. Jazda taka, po której młody nawet i silny człowiek, jeżeli do niej nie jest przywykły, długi czas wyczekiwać musi, aż mu się w dawny ład ułożą roztrzęsione członki, których wiązadła rozluźniły się i osłabły, jazda taka byłaby wytrzęsła duszę z rotmistrza, który niedawno powstał z ciężkiej i niebezpiecznej choroby, bądź co bądź jednak, gdy się gubernator dowiedział, że starzec któremu w jego gubernji wyznaczono przymusowe schronienie, opuścił przeznaczone dla siebie miejsce, już rotmistrz i jego wnuczka nie znajdowali się ani w tej samej, ani w żadnej z sąsiednich gubernji.

O planie ucieczki ułożonym przez Konstancję, dziadek jej nic nie wiedział aż do końca. Pozwolenie przejechania się brał za uprzejmość, którą horodniczy okazał mu na prośbę Konstancji. Gdy przejażdżka trwała zadługo, sam nalegał, żeby wracali.

— Horodniczy niepokoić się będzie — mówił do wnuczki — i będzie żałował że mi pozwolił się przejechac... dobry człowiek nie trzeba robić mu zmartwienia...

— Dobrze, dobrze dziaduniu... wrócimy zaraz, ale jeszcze trochę pojedźmy dalej. Anna Iwanówna nam towarzyszy, obawa horodniczego byłaby śmieszną.

Anna Iwanówna była to gospodyni rotmistrza.

— Ja takbym chciała jechać dalej, dalej, najdalej ztąd — zaczęła znowu Konstancja — ale trudno!... Ot, wiesz co dziaduniu, powiedz mi co byś ty zrobił na mojem miejscu?...

— Jakto na twojem?....

— Gdyby mnie tutaj wywieziono i trzymano, i gdybyś mógł przyjechać do mnie, i wozić mnie po okolicach...

— Ani chwili bym się nie namyślał — odparł żywo starzec — wykradł bym dziecko moje...

Konstancja klasnęła w ręce.

— A widzisz, dziaduniu — zawołała — ja przecież jestem twoja krew... ja tak samo zrobić powinnam...

— Gdzież się tobie na to porywać?... tyś słabe dziewczę...

— Otóż to właśnie nieprawda, mój dziaduniu! Nie jestem słabą dziewczyną ale silną kobietą, której ty wyrabiałeś charakter, potrafię i ja zrobić toż samo. Wykradnę cię, już cię nawet wykradłam.

Rotmistrz nie wiedział co ma myśleć o tych słowach Konstancji. Nie śmiał im wierzyć, a nie chciał ich brać za płochy żart ze strony wnuczki, który ze względu na jego położenie byłby co najmniej bardzo niestosownym.

Zwrócił się do gospodyni.

I cóż wy na to, Anna Iwanówna?... — rzekł — ot, dziwczyna plecie niewiedzieć co, żeby się w głowie przewróciło staremu.

Gospodyni uśmiechnęła się tylko, a Konstancja objęła rotmistrza szyję i patrząc mu w oczy rzekła:

— Nie dziaduniu, ja cię nie zwodzę.... my jedziemy daleko, bardzo daleko, aż do Polski.

— Do Polski! — powtórzył starzec.

W oczach jego promieniało szczęście. Patrzył na twarz wnuczki swojej i milczał. Potem dwie łzy z oczu jego spłynęły.

— Do Polski — powtórzył jeszcze raz — do Polski! myślałem że jej nie zobaczę już więcej...

Chwilowe wzruszenie przeminęło. Rotmistrz przycisnął wnuczkę do swego łona.

— Zuch jesteś, dziecko! — rzekł — masz w sobie krew Gradowskich.

Chciał dodać, ale pomyślał tylko:

— Choć matka twoja była za Szóstackim!...

— Widzisz dziaduniu — mówiła dalej Konstancja — że i ja robię dla ciebie, to cobyś ty zrobił dla mnie... tylko że ja nie mam takiej zasługi — dodała spuszczając oczy.

— Niesłusznie jej sobie odmawiasz dziecko moje..

— Oj! słusznie, słusznie, dziaduniu... Ty, widzisz, byłbyś mnie wykradł z niewoli dla mnie samej... a ja... gdybym tylko ciebie miała na świecie, nie pomyślałabym nigdy o wywożeniu ciebie ztąd... zostałabym z tobą przez całe życie... Myśl ta mi przyszła dlatego tylko, że mi się spieszy do kogoś innego...

Mówiąc to utuliła głowę na piersiach dziadka.

Przybyli do najbliższego miasta, pożegnali się z Anną Iwanówną, która powtórzyła zapewnienie, że po powrocie do domu zrobi wszystko jak było ułożone między nią i Konstancją, następnie wziąwszy inne konie w dalszą puścili się drogę.

Długo trwała ta podróż, bo nie można było jechać prosto do celu. Dla zmylenia pogoni trzeba się było udać dosyć daleko w kierunku przeciwnym zamierzonemu, a potem dopiero, dostawszy się na więcej uczęszczane drogi handlowe, zwrócić. Nie napotkali jednak w drodze przeszkód zbyt wielkich, a zwłaszcza nie napotkali tej, której najbardziej obawiała się Konstancja. Rotmistrz z łatwością znosił trudy podróży, i nietylko że nigdzie nie zasłabł w drodze, lecz jakby odmłodniał o dziesięć lat. W skutek wybiegu horodniczego nikt o ściganiu ich nie myślał, a gdy wiadomość o ucieczce wywołała urzędowne dochodzenia, znajdowali się już tak daleko i byli tak dobrze zaopatrzeni w legitymacje usuwające wszelkie podejrzenia, że mogli być spokojni przed wszelką obawą pogoni.

VIII.

Kilkanaście lat dopiero upłynęło od epoki którą opisujemy, więc nic dziwnego, że od tego czasu wyszły z użycia i zostały prawie zapomniane niektóre ograniczenia swobody ruchów człowieka, po które za murami więzień danego państwa, wszystkich zostających niby na wolnej stopie mieszkańców czyniły do pewnego stopnia więźniami. Kordony celnicze pozostały wprawdzie jeszcze jak były, i państwa najbardziej sprzyjające zasadzie wolnego handlu pozbyć się ich nie umiały do dzisiaj, ale to jest rzecz drugorzędna. Wietrzący kontrabandę strażnicy granic nie przeszkadzali i przeszkadzać nie mogli przewozowi tej kontrabandy, którą podróżny wiózł w swej głowie,—powiedział im to wyraźnie i szyderczo Henryk Heine. Ale jeśli kordony celnicze pozostały, znikły za to i znikły bezpowrotnie owe formalności paszportowe, któremi rządy starały się tamować międzynarodową wymianę pojęć, doświadczeń i wyobrażeń. Jedna Moskwa na cały świat cywilizowany upiera się jeszcze przy nich, tak jak u niej jednej jeszcze istnieje w całej pełni średniowieczna instytucja prewencyjnej cenzury i inne nieodłączne atrybuty bezwzględnego absolutyzmu, którego ona także, jeżeli pominiemy niechrześćjańską Turcję, jest już jedyną w Europie reprezentantką.

Nie było tak przecież jeszcze za czasów kiedy Konstancja z dziadkiem swoim przebywała granice caratu, aby się dostać do tego państwa, w którym zatrzymano pozbawionego wolności jej męża. Trzeba było wówczas przebywać podwójny kordon graniczny, legitymować się najprzód przed moskiewskiemi a zaraz potem przed austrjackiemi władzami.

Najmniejsza to zresztą była już trudność do przebycia, i jeżeli powstanie niewiele sobie robiło z rozmaitych policyjnych zarządzeń, które miały na celu położyć mu tamę, to najbezwzględniej podobno żartowało z tych orłami i pieczęciami zaopatrzonych świstków, za których pokazaniem, niby za różdżki czarnoksięskiej dotknięciem, roztwierać się miał mur chiński, rozgraniczający dwa mocarstwa. Ludzie skazani na śmierć wyrokami sądów wojennych, albo najpilniej poszukiwani przez policję i zapisani na każdej liście podejrzanych, przebywali granicę za paszportami albo wprost legalnemi, albo tak podobnemi do legalnych, że ich najczujniejsze oko policyjne nie było w stanie od prawdziwych odróżnić. Doszło do tego, że rząd moskiewski postanowił się chwycić środka radykalnego. Od nowego roku v. s. 1864 zmieniono formę blankietów, na których wydawały się pasporta, w przypuszczeniu że przynajmniej przez czas jakiś niepodobna będzie konspiratorom zaopatrywać się po za oczyma rządu w tego rodzaju dokumenta. Jak dalece to przypuszczenie było złudnem, mieliśmy sposobność przekonać się o tem osobiście. Zaraz nazajutrz po owej zmianie, d. 14 stycznia 1864 r. piszący te słowa przybył z Warszawy aż na samą austrjacką granicę, za pasportem wystawionym dla osoby, której imię i nazwisko było tylko utworem jego wyobraźni, pozwalającym mu udać się do jednego z powiatów nadgranicznych, do wioski, której nazwa była również improwizacją i nigdy nie istniała na żadnej mapie. I niedość na tem, jednocześnie z tym pasportem wydane zostały piszącemu, którego podówczas dosyć pilnie po Warszawie szukano, dwa inne takie dokumenta, w podobnych zupełnie warunkach, na blankietach najlegalniejszych, nowej tylko co zaprowadzonej formy, zaopatrzone podobnież jak tamten, najautentyczniejszym własnoręcznym podpisem *jewo prewoschoditelstwa* jenerała ober-policmajstra Trepowa, które były potrzebne dla innych osób, również pilnie poszukiwanych. Cała ta sztuka kosztowała razem rubli srebrem trzydzieści, włącznie ze stemplami i opłatami pobieranemi na rzecz skarbu, który z tej kwoty opłacony jest najsumienniej, to też zaręczyć można że *jewo prewoschoditelstwo* jenerał ober-policmajster, za naiwność z jaka trzy swoje własnorączne podpisy dla wygody i bezpieczeństwa trzech buntowszczyków położyć raczył, nie otrzymał ani kopiejki.

Przytoczyliśmy ten fakt drobny, ale charektezystyczny, na dowód jak śmiesznemi i bezcelowemi są udręczenia zadawane dotąd jeszcze podróżnym na granicach moskiewskiego caratu, udręczenia których ofiarą padają tylko ci, którzy w danym razie nie mają żadnych nieprzyjaznych względem cara i jego władzy zamiarów, bo inni zawsze poradzić sobie potrafią, i jak niedorzecznem jest upieranie się przy takich podpisach, których bezskuteczność już w całym świecie cywilizowanym oddawna uznaną została.

Po tych kilku słowach nie potrzebujemy dodawać, że przekroczenie granicy nie przedstawiło dla Konstancji i rotmistrza żadnych trudności.

Stanąwszy w granicach monarchji, następnie na Cis i Translitawję rozpołowionej, Konstancja z łatwością dowiedziała się o losie swego męża. Można tu już było używać cywilizowanych środków i w przeciągu dwudziestu czterech godzin telegraf wskazał jej gdzie się ma udać, ażeby się zobaczyć ze Stanisławem.

Zaraz po otrzymaniu tej wiadomości udała się z dziadkiem do Ołomuńca, gdzie był internowanym nasz bohater.

Z odniesionej rany nieprędko przyszedł on do zdrowia. Główną podobno przyczyną która powstrzymywała jego rekonwalescencję był brak wiadomości od żony. Dręczył go niepokój straszliwy, a wszelkie środki, jakie przedsiębrał, ażeby się z nią skomunikować, okazywały się daremnemi. Marszałek Szóstacki nie chciał się kompromitować odpowiadaniem na listy buntownika, ciocia Giefia doniosła tylko że Kostunia znikła z Gradowiec, gdzie jednak się podziała nie wiadomo, ojciec Fulgencjusz nie mógł żadnych a żadnych dać objaśnień. Łatwo się domyśleć że i Konstancja, jeszcze przed wyjazdem i później z drogi, starała się dawać o sobie wiadomość mężowi, listy jej jednak wysyłane do różnych osób w nadziei, że będą mogły posiadać o miejscu pobytu Stanisława jakąś wiadomość, nie zdołały dotrzeć do celu. Tym sposobem przez półtora miesiąca Stanisław nic nie wiedział co się działo z kobietą, która była całem szczęściem jego i życiem, więc się szarpał i zrywał, ażeby módz jak najspieszniej zająć się z całą energją jej odszukaniem, a wzruszenia jakich w skutek poczucia swej niemocy doznawał, jeszcze bardziej powiększały tę niemoc.

Konstancja znalazła go w szpitalu wojskowym.

Że ukazanie się jej i wiadomość o dokonanem przez nią wyswobodzeniu rotmistrza były dla chorego zbawczym balsamem, tego nawet nie mówimy. Medycyna zgadza się na to, że szczęście jest najlepszem lekarstwem tylko farmacja niedołężna nie umie tego wyrabiać w aptekach.

Uzyskano bez trudu u władz austrjackich pozwolenie zabrania chorego ze szpitalu wojskowego do prywatnego mieszkania, i wkrótce potem powstańcza rodzina zajmowała razem niewielkie z kilku schludnych pokoików złożone mieszkanie przy jednej z bocznych ulic Ołomuńca

Stanisław szybko powracał do sił, nadzieją jednak że wróci na plac boju łudzić się już nie było można. Nie brakłoby mu z pewnością ochoty, a zaprawiony w żołnierskiem rzemiośle przebytą szkołą, tem silniej czuł obowiązek służenia ojczyźnie z orężem w ręku; Konstancja także pewnie nie kładłaby mu tamy w spełnieniu tego zamiaru i z spartańską stałością zniosłaby nową rozłąkę, a rotmistrz nie byłby mu również odmówił ojcowskiego błogosławieństwa na nową przeciw wrogom wyprawę, — ale iść już na pole bitwy nie było po co. Wid-

*

nokrąg powstania malał z dniem każdym, trzeba było zaślepionego optymizmu, żeby nie wierzyć że ruch ma się ku końcowi. Spełzła na niczem nadzieja pomocy z zewnątrz, na którą liczyli jedni; płonnemi się okazały głębokie rachuby drugich, że ogólny bieg wypadków przyjmie kierunek sprzyjający rozpacznym wysileniom pragnącego odzyskać byt swój niepodległy narodu; kłamstwem i blagą okazała się interwencja dyplomatyczna mocarstw, która się innym, najłatwowierniejszym, zdawała zrazu w tak wielkie następstwa płodną, wiadomości zaś z placu boju coraz częściej przynosiły wieści smutne i bolesne, a przecież zaprzeczyć się niedające, że najlepsze oddziały partyzanckie po krwawych starciach szły w rozsypkę, że najdzielniejsi dowódcy kładli swe głowy na polach potyczek, że na coraz większych obszarach kraju powstanie było już faktycznie stłumionem, że coraz większa liczba tajnych przywódców ruchu, albo zmuszoną została uciekać zagranicę, albo znajduje się w rękach carskich oprawców i nieuniknionej oczekuje szubienicy. (C. d. n.)

MIECZYSŁAW ROMANOWSKI.

Kilka słów o jego życiu i dziełach na tle spółczesnej chwili

przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Charakterystyczniejszym w tym względzie, a na piękną jego i prawdziwie wielką duszę jeszcze mocniejsze światło rzucającym objawem jest drobna wprawdzie, ale wiele znacząca okoliczność. Było to po ogłoszeniu *Dziewczęcia z Sącza*. Już imię Romanowskiego jako niepośledniego poety brzmiało w najodleglejszych stronach ziemi naszej. Otóż wtedy napisał jeden z najznakomitszych pisarzów naszych J. I. Kraszewski rozbiór tego utworu w *Gazecie codziennej*, nie wahając się z powodu rzeczonego poematu młodemu poecie przyznać tytułu „wieszcza.“ Nie byłoby w tem przesady, jeżeli się zważy, iż *Dziewczę z Sącza* jako mieszczańskie epos jest pierwszą u nas kreacją na tem polu, i to kreacją udałą, mającą donośne społeczeńskie znaczenie. Skromny a zasłużony już autor epopei nie chciał wszakże uwierzyć temu, ażeby usiłowania jego były warte takiego odszczególnienia. W liście do siostry pisał z tego powodu między innemi: „Patrzę się w zwierciadło — i w żaden sposób wierzyć nie mogę, że widzę tam wieszcza.“ Niech że to kto porówna z wynurzeniami n. p. Słowackiego!

Na ciągłe takie i stateczne, a zawsze skromne o sobie rozumienie wskazuje również notatka z powodu recenzji *Śpiewaka z oazy* i *Młodego lutnisty*. Czytał tę ocenę poeta zaraz po jej ogłoszeniu w *Dzienniku Warszawskim*, i pod dniem 2 listopada roku 1855 pisze, co następuje: „Naprzód! — naprzód! Zostać się, lub wstecz się cofnąć już mi nie wolno! *Jacta est alea* nie tylko przezemnie, ale i przez ludzi, która mi wzbrania cofać się, lub zostawać. Gdyby była krytyka milczała, kto wie, możebym był i ustał powoli w mem przedsięwzięciu. D z i ś k r y t y k a s t r o f u j ą c m i ę o s t r o l e c z s ł u s z n i e, n a k a z u j e m i i ś ć d a l e j — a k r y t y k a, t o g ł o s p u b l i c z n y, g ł o s s m a k u o g ó ł u. J e j n i e p o s ł u s z n y m b y ć n i e ś m i e m; byłoby to nie mniej ni więcej, tylko okradzeniem ogółu z położonego we mnie zaufania i nadziei.“

Ważny czynnik w duchowym rozwoju poety stanowi ciągła nad sobą praca, pilne zagłębianie się w arcytwory uznane, nieustanne studjum przyrody i ludzi, przedewszystkiem zaś owego wyższego psychicznego życia i jego objawów w jednostce, rodzinie i społeczeństwie, w których sztuka znajduje godny dla siebie materjał. W tym względzie nie tylko społeczeństwo żyjące, ale i to które już zeszło z widowni działania, i jedynie w tradycji lub historji byt swój przechowało, na szczegółowe zasługuje rozpoznanie. Studja przeszłości dla poetów epickich i dramatycznych są prawie nieodzowne.

Romanowski w każdym z tych kierunków pozostawił świadectwa zamiłowanej i sumiennej pracy. Naukę polubiwszy od dziecka, nie spuszczał nigdy z oka odpowiedniego swemu powołaniu kształcenia się, a przy skromnem jak widzieliśmy rozumieniu o sobie i swych zdolnościach, postępywał wytrwale w zdobywaniu duchowi swemu nowych i coraz piękniejszych światów. Wymownym tego dowodem są rozpatrzone utwory od najpierwszych począwszy, aż do ostatnich. Mieliśmy już sposobność zwracać uwagę czytelników na szczegóły, które nie w samej tylko wyobraźni poety znajdywały swe źródło. Znawstwo znakomitych dzieł tak naszej literatury, jak obcych, mianowicie zaś niemieckiej i angielskiej, tudzież wpływ tego rozpoznawania, zgłębienie dziejów narodowych i miłościwe, czyste a szlachetne zajęcie się niemi — to wszystko prześwieca nietylko w większych poematach Romanowskiego, ale i w drobniejszych, nawet w bardzo malutkich kreacjach.

Z pomiędzy pisarzów obcych rozczytywał się w młodości swojej szczególniej chętnie w utworach Szyllera, Goethego, Rückerta i Bajrona; z jakiem zaś zamiłowaniem studjował narodowych poetów, wskazuje następująca wzmianka w dzienniczku, zapisana pod dniem 27 lutego r. 1855: „Dziś skończyłem studjum ballad A. Mickiewicza; — ostatnia Basza-renegat. Co tam prawdy! co tam piękności i kwiatów! Zachwycałem się niemi tak, żem jak dziecko książkę do piersi i do ust przyciskał. Z drugiej strony brał mię lęk, że mi nigdy nie będzie wolno osiągnąć tego stopnia piękności.... Otwierałem książkę, by jeszcze raz choć przelotnie nakarmić temi pięknościami myśli i serce — odkładałem ją porwany czarną myślą zwątpienia. O żebym się mógł choć zbliżyć do tego mistrza!...“

Ten kierunek ku poważnemu i rzetelnemu kształceniu się miał swe źródło nietylko w samem usposobieniu poety, ale i w innych jeszcze okolicznościach. Istnieje we Lwowie Zakład narodowy imienia Ossolińskich, utrzymujący najbogatszą w kraju bibljotekę. Instytut ten posiada stypendja dla młodzieży oddającej się naukom, której obowiązkiem jest pewne godziny codziennie spędzać w zakładzie i sprawować czynności naukowe sobie poruczone. Romanowski w ostatnim roku swych studjów akademickich (1857) uzyskał stypendjum przy tym zakładzie. Miał teraz zatem większą niż kiedykolwiek sposobność bezpośredniego zetknięcia się z dokumentami dziejowemi, z pamiętnikami do różnych epok naszej przeszłości, z celniejszemi poszukiwaniami i pracami na polu historycznem, słowem z tem wszystkiem, co twórczemu duchowi poety dostarczać mogło pożądanych przedmiotów do pieśni. Łatwo więc pojmiemy, dlaczego poetyczni bohatyrowie Romanowskiego, jakkolwiek idealni w swych postaciach, mają przecież pod stopami swemi grunt rzeczywisty, dziejowy.

Stanowisko, jakie zajmywał w zakładzie Ossolińskich, ułatwiło mu zawiązanie bliższych stosunków z uczonymi naszymi: Augustem Bielowskim, Karolem Szajnochą i Ksawerym Godebskim. Nie potrzebujemy tłumaczyć, że związki tę były dla Mieczysława wielce obfite w naukowe korzyści, przynoszące w skutku swoim nie rzadko bądź impuls, bądź materjał nowy do poetycznych kreacyj. Autorowi *Jadwigi i Jagiełły* zawdzięczał wczytanie się w pisma starych naszych kronikarzy, skąd potem wypłynął zamiar wypracowania szeregu dramatów z czasów przedhistorycznych.

Materjały do swej mieszczańskiej opowieści zbierał w Starym i Nowym Sączu w archiwach miejskich i kościelnych, do których przystęp ułatwił mu Szczęsny Morawski.

Stypendjum Ossolińskich posiadał do lipca r. 1859, poczem uwolniony od obowiązków przy bibljotece, opuścił Lwów i wrócił do domu rodzinnego w Żukowie. Powodem do tego kroku było najszlachetniejsze z uczuć, jakie żywił: miłość rodziców. Widząc ich pochylonych wiekiem i troską około gospodarstwa, zapragnął ulżyć im w pracy. Ale zajęcia ziemiańskie nie były jego zawodem, a podejmując się ich, widocznie gwałt sobie zadawał. Toż sami rodzice skłonili go niebawem, ażeby wracał do Lwowa, do dawnych stosunków i pracy. Od czerwca r. 1860 widzimy Romanowskiego znowu w zakładzie Ossolińskich zajmującego posadę skryptora. Na dorocznych posiedzeniach instytutu występywał z odczytem prac swoich: *Snu króla Jagiełły pod Tannenbergiem*, *Ojcowskiego słowa*, *Legendy*.

Co się tyczy wewnętrznego usposobienia, nie był nigdy egzaltowanym, ani też podlegał chorobliwemu marzycielstwu. Szczery, otwarty, dowcipny, lubił taniec, muzykę, szablę, konia, polowanie. Pożycie z ludem wiejskim, potem stosunki z niższą warstwą mieszczańską to było jego żywiołem. Rad „szył się między czeladź“ rzemieślniczą — jak sam charakterystycznie mawiał o tej swojej społeczeńskiej robocie — ażeby nieść światło i rozniecać ducha obywatelskiego. Stosunkom tym pozostał zawsze wierny. Tem tłumaczy się owa samorodna siła, jaką tchną jego poezje; z tej też miłości mieszczaństwa naszego wypłynęło *Dziewczę z Sącza*.

Dzielność twórcza nie opuszczała Romanowskiego nigdy. Kiedy się nosił z jakim większym pomysłem, uczuwał nieraz jakiś dziwny niepokój, jakieś nieokreślone drżenie duszy, nawet smutek i zwątpienie. Takie wyjątkowe chwile przynosiły w darze zawsze piękne owoce, a podniosła natchnieniem pieśń wypływała po takich burzach z pod pióra poety.

Jak bardzo cenił żywą przyrodę i jej uroki, okazuje następująca strofka z datą 18 kwietnia 1856:

Komu się serce z przyrodą nie zrośnie,
Kto nie odetchnął nadzieją ku wiośnie,
Już nie potrzebny ni ziemi, ni niebu;
Trup — który sobie nie sprawił pogrzebu!

To też zawsze w chwilach wolnych spieszył ochoczo do rodzinnej wioski, ażeby się odświeżyć. Odwidzał też i przyjaciela w Medyce, gdzie miał sposobność stykać się z Kornelem

Ujejskim, Brunonem Bielawskim, Henrykiem Schmittem, Walerym Łozińskim i innymi. Wycieczki w Karpaty i Tatry wpływały również dobroczynnie na młodego ducha, nastrajając go podniośle. Jednej z nich winniśmy piękny szkic powieściowy p. t. *Kilka dni w górach Pokucia*, drukowany w *Dzienniku literackim* r. 1857.

Nie wypisujemy tutaj tych miejsc z pamiętnika naszego poety, w których się maluje gorąca chęć służenia narodowi. Wszystkie jego utwory przemawiają za tem tak wymownie, że dla wyświecenia dążności swojej nie potrzebują żadnych komentarzy. Całe życie jego aż do ostatka oddane było tej służbie.

* * *

Przystępujemy teraz do ostatniej z liczby większych prac poetycznych Mieczysława Romanowskiego. Była nią tragedja w pięciu aktach: *Popiel i Piast*, na uczczenie „tysiącletniej rocznicy Piastowej“ napisana. Już sam tytuł utworu wskazuje dokładnie na okres czasu, z którego wzięty przedmiot dramatu. Jest to doba w dziejach narodu jedna z najwcześniejszych, mgłą porankowych wypadków mocno zawiana, a dotąd bardzo mało rozjaśniona światłem poważnej krytyki historycznej. Śród zamierzchu tej pierwotnej epoki przejawiają się wszakże widocznie żywe tętna kiełkującego w swym zarodzie przyszłego społeczeńskiego ustroju, na który dopiero później spada jasny promień prawdy dziejowej. Epoka tej że tak powiemy niepewności historycznej, rozświecana tylko z rzadka bądź utrzymującą się w drobnych okruchach legendową tradycją, bądź też zarówno skąpemi jak nieudowodnionemi zapiskami kronikarzów, o ile trudną jest dla dziejopisa, o tyle ponętną dla poety. Mało jednak dotąd i pod tym względem ją zużytkowano; bo też zaprawdę potrzeba potężnego talentu, któryby z zasobu własnej imaginacji, wspieranej jedynie drobnemi pozostałościami odległej przeszłości, zaludnić zdołał tę wielką próżną przestrzeń postaciami żywemi, stworzonemi według prawideł dziejowego prawdopodobieństwa. Na początku obecnego stulecia pierwszy pokusił się o to Woronicz w swym *Assarmocie* i *Lechu*, ale bezowocnie i nieudolnie. Z nowszych poetów Jadwiga Łuszczewska (Deotyma), a szczególniej i z niemałem powodzeniem Juljusz Słowacki w swym *Królu-duchu*, tudzież w dramatycznych kreacjach *Lilli Wenedzie* i *Balladynie* usiłowali odtworzyć te zaczarowane światy. Trzecim z kolei, uzupełniającym godnie autora *Balladyny* jest Romanowski. (C. d. n.)

Messjanizm i Towiańszczyzna

w ogólnym zarysie.

Napisał

CZESŁAW PIENIĄŻEK.

(*Ciąg dalszy.*)

Mickiewiczowi wydało się istotnie, że wszystko co mu genjalne fantazje i płomienne uczucia dyktowały, znajduje teraz sformułowane, wcielone w osobie i nauce Towiańskiego. Pisze też w kilka miesięcy po zetknięciu się z Towiańskim, do jenerała Skrzyneckiego:

„Moja wiara w słowa Andrzeja jest skutkiem całego mojego życia, wszystkich moich usposobień i prac duchowych. Ktoby czytał pisma moje, przekonałby się o tem. Nie wspomnę o drobnych w młodości rzuconych w świat pieśniach (Romantyczność — Oda do młodości); późniejsze dzieła, a mianowicie Księgi Pielgrzymstwa i Dziadów IV (III) część świadczą, żem to co się dzieje, przeczuwał“... „publicznie i wyraźnie Andrzeja tu emigrantom przepowiedziałem...“ „Uzdrowieniu mojej żony towarzyszyły okoliczności cudowne. Opisywać je byłoby długo. Bogu wiadomo, że prawdę piszę. Wracam dziś z rekolekcji, którą odbyłem u księży Jezuitów, i po spowiedzi i po przyjęciu P. N. Sakramentu to piszę...“ (z listu z 23. marca 1842) *)

W tymże sensie, co list powyższy — jeno w formie przecudnej, śpiewnej poezji — odzywa się poeta 15 sierpnia 1841 r. do Bohdana Zaleskiego:

„Słowiczku mój! a leć a piej!
Na pożegnanie piej:
Wylanym łzom — spełnionym snom
Skończonej piosnce twej!

Słowiczku mój! twe pióra zlej,
Sokole skrzydła weź,
I w ostrzu szpon — złotostron
Dawidów hymn tu nieś!

Bo wyszedł głos i padł tu los
I hojne brzemię lat.
Wydało płód! i stał się cud
I rozraduje świat.

Wierszyk ten jest zakończeniem listu, w którym pisze:

„Bohdanie! Skoro ten list przeczytasz upadnij na kolana i dziękuj Panu. Wielkie tu dzieją się rzeczy. Emigracja połączona. Spiesz zaraz, zaraz do nas, abyś serce twe pocieszył, rozradował, okwiecił, ozielenił. U mnie w domu kwiaty i wiosna i w sercu i w duchu. Od kilku dni piszę do ciebie na wszystkie strony, nie wiedząc, gdzie się obracasz. Józefa wołaj natychmiast do Paryża. Więcej pisać nie wolno“. **)

V.

(*Pierwsze zawiązki towiańszczyzny. — 44. — Postępowanie Mickiewicza. — Pierwsze wystąpienie Zmartwychwstańców. — Wydalenie Towiańskiego z Paryża*).

Skoro tylko Mickiewicz tak stanowczo pozyskanym został apostolstwu Towiańskiego, ogólne obudziło się zainteresowanie szlachcicem litewskim. Wieść o zjawieniu się proroka i cudach jego, rozchodziła się szybko; zdziwienie powstało między emigracją w Paryżu i na prowincji. W najrozmaitszy sposób tłumaczono sobie to zjawisko, a przeważnie mniemano, że to jakaś polityczna robota, przez wzgląd na lud osłaniająca się cudownością. Klementyna Hoffmanowa pod wrażeniem różnych o tem opowiadań, napisała ustęp w swoim pamiętniku dnia 4. września 1841 r. w którym mniema, że cała ta sprawa jest poezją i modlitwą genjalnego, a nabożnego Mickiewicza.

Poważne stanowisko Mickiewicza, cześć jaką miano dla niego, bałamuciły najwięcej umysły — bo nie umiano sobie usprawiedliwić dziwacznego zjawienia się Towiańskiego, a widziano Mickiewicza, tak pełnym entuzjazmu jego zwolennikiem.

*) Korespondencje A. Mickiewicza Paryż 1870. T. I str 186—187.

**) Korespondencje A. Mickiewicza. Paryż 1870. T. I. str. 180.

Ta powaga Mickiewicza sprawiła, że doktryna Towiańskiego mogła się była przyjąć na gruncie emigracyjnym, bo pomimo całej skłonności owej generacji do mistycyzmu, mimo messjanicznych prądów w poezji, mimo mesjanicznej filozofji Wrońskiego, mimo okoliczności politycznych i kościelnych, które istotnie zdolne były wywoływać przeróżne objawy politycznych i teologicznych zboczeń, — mimo tego wszystkiego byłaby się od pierwszego rzutu oka cała ta historja z Towiańskim wydała śmiesznością, obłędem, mistyfikacją, szarlatańską sztuką — zresztą wszystkiem co bądź innem, niż wcieleniem się mesjanicznych dedukcji filozofów.

Na razie dwóch jeno adeptów stanęło przy Towiańskim obok Mickiewicza. Byli to: Antoni Górecki poeta, i Izydor Sobański. Przystąpienie ich poczytuje Mickiewicz za dowód wyższego posłannictwa Towiańskiego, gdyż pisze o tem do ks. Aleksandra Jełowickiego 3 września 1841:

„Wieści o których do mnie piszesz są prawdziwe. Nie tylko ja rozgłaszam je, ale Sobański Izydor i Górecki, pierwszy rozróżnił się odemnie w mniemaniach, drugiego od roku nie widziałem, a przynajmniej z rok cały z nim nie rozmawiałem. Nie jest to więc ani zmowa między nami, ani moje osobiste złudzenie *)...“

Dla tego szczupłego grona redaguje Towiański pismo, zawierające w krótkości jego poglądy i dając je w ręce tych pierwszych uczniów swoich powiada, że Bóg mu je podyktował. W krótce atoli zmienia redakcję tego pisma i zapewnia, że Bóg je odmienić kazał. Odstraszył tem obu pierwszych uczniów, którzy mu oświadczyli, że Bóg się poprawiać nie może i nie potrzebuje; Mickiewicz jednak pozostał wiernym. Z końcem września, gdy zjawienie się Towiańskiego, nie mało już narobiło wrzawy, rozsela Mickiewicz zaproszenie do emigracji, następującej treści:

„Uprasza się łaskawych braci o uczestnictwo w nabożeństwie, odbyć się mającem w kościele arcykatedralnym paryskim, Notre-Dame de Paris, na dniu 27 września, o godzinie ósmej i pół z rana, w intencji przyjęcia i podziękowania za łaski zlane przez Pana. 25. września 1841 Adam Mickiewicz.**)“

Na to zaproszenie, nie zbyt poprawnie wystylizowane, a zatem wyszłe zapewne z pod pióra Towiańskiego, zebrało się osób bardzo wiele. Towiański z Mickiewiczem przystępowali do komunji, a po mszy skończonej, w jednej z framug kościoła u drzwi głównych, zatrzymał Towiański wychodzących i przemówił do nich z największym zapałem, z przejęciem się, ale w sposób nie jasny.

Na wstępie powiada, że tu (tj. w kościele) przemawiać „musi — gdyż mu gdzieindziej nie wolno było tego uczynić“ — że nie przynosi ani mądrości rzeczy ludzkich, ani nauki, ani umiejętności „bo tych więcej odemnie posiadacie... tylko przychodzę z poleconem mi uwiadomieniem...“ „Od dawna serce moje gorąco pragnęło oświadczyć wam, że wybiła godzina miłosierdzia pańskiego, lecz mi to dozwolonem nie było; teraz zaledwie nadeszła chwila, kiedy mi z wyżej rozkazano objawić wam, iż wstąpiliśmy w nową epokę,

*) Korespondencje A. Mickiewicza Paryż 1870. T. I str. 186.

**) Towiańszczyzna wystawiona i anneksami objaśniona, przez Stefana Witwickiego. Paryż 1844.

w epokę łaski.“ Następnie rozpowiada, że gdy miara złego się przepełnia, Opatrzność zseła środki zbawienne i zaradcze, które sprowadzają przeobrażenie. Teraz ma się ono dokonać, nie jak dawniej po długich rewolucjach, ale „rychło“ „nagle.“ „Dzień dzisiejszy (przemówienia) jest dniem wielkim w rozwijaniu się tego dzieła, w którem naród znajdzie byt niepodległy i szczęśliwy.“ Cierpienia wszelkie w krótce ustaną, ludzkość będzie zupełnie szczęśliwą, bo „ewangelja obejmie w całej rozściągłości swe panowanie, zajaśnieje nie w słowach i formach, ale w sercach wszystkich i ludy wolnością pocieszone będą.“ Wykazuje potem konieczność, aby ludzie dobrej woli skupiali się koło niego i zapowiada ponowne zebranie, potem tłumaczy swe posłannictwo, objawione mu przez Boga. „Nie wiem dlaczego przez największe miłosierdzie Pańskie, powołany jestem do missji, którą zaczynam spełniać udając się do was.“ Oświadcza, iż w całem działaniu swojem, nie będzie nigdy myśleć o sobie gdyż mu to „jest wzbronionem,“ a kończy swe przemówienie wezwaniem, aby mu życie odebrano, jeżeliby znaleziono w nim „co nieczystego i przeciwnego temu, co zapowiada.“ Wreszcie powołuje do uczestnictwa i zapewnia „że już dzieło Pańskie rozpoczęte zostało.“

Nie możemy usunąć od siebie pokusy przyłączenia się do uwag, jakie nad tem pierwszem przemówieniem Towiańskiego publicznem, poczynił Witwicki, w dziełku przez nas wymienionem. Witwicki zarzuca Towiańskiemu niekonsekwencję w postępowaniu i w słowach, co rzeczą bardzo jest jasną, gdy się zważy, że Towiański przemawiał za sprawą swej doktryny wszędzie, gdzie miał do tego sposobność, a upewnia, że „gdzieindziej“ a nie w kościele „nie wolno mu było“ w tej sprawie przemawiać. Powiada następnie, że teraz dopiero dozwolono mu z wyżej objawiać swe posłannictwo, a przecież objawiał je znacznie pierwej ks. Duninowi w Poznaniu i jen. Skrzyneckiemu w Brukselli. Przy tem wszystkiem wielce niefortunna wyśliznęła mu się uwaga gdy zapewnia, że nie będzie w całem działaniu swojem myśleć o sobie, gdyż mu to „jest wzbronionem.“ A zatem dopiero siła wyższa zewnętrzna trzymać musi apostoła na wodzy, aby się nie wykoleił z etycznego stanowiska, jakie zajmować powinien z własnego przeświadczenia?! Zresztą przemówienie to pierwsze, trzymane w ramach ogólnej zapowiedzi czegoś mającego dopiero nastąpić, nie nastręcza przedmiotu do dyskussji, któraby na samą istotę towiańszczyzny światło rzucić mogła.

(C. d. n.)

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

(Ciąg dalszy.)

Dzięki usilnym staraniom wysokich dygnitarzy państwa, których dla moich planów udało mi się pozyskać, cesarz Birmanji zezwolił nareszcie, aby młodzi kochankowie porzucili życie klasztorne i połączyli się węzłem małżeńskim. W kilka miesięcy ja i moja zona odwidziliśmy młodą parę. Gospodyni domu przyjęła nas bardzo uprzejmie; musiała być kiedyś niepospolicie piękną, oczy jej pełne ognia miały pociągający wyraz, ale rysy twarzy straciły pierwszą świeżość, wyraz tęskny wypiętnował się na nich, a w całej postawie widać było rozczarowanie, powiedziałbym znudzenie. Gdy przelotnie rzucała spojrzenie na męża, żadne żywsze uczucie nie rozjaśniało znękanego oblicza; w nim taki sam spokój, taka sama oschłość i przygnębienie graniczące ze zniechęceniem. Rozmawialiśmy o konnej jeździe, lecz umysł jego zdawał się bujać gdzieś indziej; pewnie marzył o roskoszach Nibanu. Panie zabawiały się szczegółami toalety. Gospodyni domu nigdy nie widziała kobiety europejskiej i żona moja była pierwszę którą poznała; mimo to nieokazała najmniejszego zdziwienia ani ciekawości w dowiadowaniu się o naszem życiu i zwyczajach.

Widok tego pożycia sprawiał mi niewymowną przykrość i starałem się jak można skrócić naszą wizytę. Niestety, ujrzałem ich jeszcze bardziej nieszczęśliwymi niźli byli w murach klasztornych. Tam przynajmniej widzieli przed sobą roskosze wymarzonego mistycyzmu; umartwieniem ciała zwalczali namiętność w nadziei dostąpienia Nibanu. Umysł ich wyegzaltowany w złudnem świetle odmalował im obraz zakazanej miłości. Natomiast w rzeczywistości znaleźli popioły przetrawionego uczucia — nicość...

Mistycyzm w gruncie rzeczy jest chorobliwym stanem umysłu w jaki często popadają ludzie na Wschodzie, dotknięci nieszczęściem. Taki środek szukania pociechy grzeszy nietylko tem, że ma siebie za jedyny cel na ziemi, ale również zapoznaje obowiązek pracy nałożony na ludzkość i staje się szkodliwym, czego najlepszym dowodem konwulsje kataleptyczne adeptów djakona Parisa. Rozpacz i namiętność niweczą siły duszy, organizm ludzki słabnie pod wpływem zgubnych marzeń, i nerwowego roztroju. Ideał stworzony myślą i przyodziany nieziemskiemi powabami, staje się punktem koło którego krążą wszystkie władze duszy, zużywając się w bezpożytecznych westchnieniach, serce usycha i ciało pomału ulega niszczącej sile egzaltacji. Zachwyt miłości, urok eterycznych roskoszy i wymarzone uciechy, jakiemi się karmi serce, ustępują nakoniec niemocy lub szaleństwu. Inaczej być nie może; z dwóch rzeczy jedna: albo umysł wpadnie w pomięszanie a wtedy ciało podtrzymywane życiem gorączkowem zyskuje podwójną siłę, lub przeciwnie ciało ulegnie władzy roztrajających czynników, a umysł nieutraci swej jasności. Dość że w końcu spotykamy się zawsze ze śmiercią lub idjotyzmem; oto gdzie prowadzi mistycyzm.

Przed powrotem do Europy chciałem raz jeszcze odwidzić i pożegnać nasze małżeństwo. Nie znalazłem wielkiej zmiany w ich obejściu. Mąż był jednakowo ponury, zdawał się żałować tych pięknych kazań które wygłaszał, cześci jaką odbierał i widoków arcybiskupstwa... Żona nie była wcale przyjemniejszą; tęskniła zda się również za tem czarownem ustroniem gdzie wszystko ulegało jej władzy. W oczach tylko dostrzegłem więcej życia, chociaż twarz była jednakowo blada. Domyślając się, co mogło w niej spowodować tę zmianę szczęśliwą, zacząłem żartami mówić o obowiązkach matki, troskliwości jaką wymagają niemowlęta, o rozwijającym się ich umyśle i figlach dziecinnych; słuchała mię z uwagą, a w końcu wywołałem szczery i serdeczny śmiech na jej usta. Mąż spoglądał zdumiony, nareszcie i on przyłączył się do naszej wesołości. Gdym odchodził wyprowadził mię na ganek, wziąłem go za rękę i trzymając ją w dłoni rzekłem:

— Słuchaj pan, to ja sprawiłem żeś opuścił klasztor.

— Hamuch! — zawołał wyrywając prędkim ruchem rękę z mej dłoni, co utwierdziło moje podejrzenia że żałuje za życiem klasztornem. Z tem wszystkiem ciągnąłem dalej odważnie:

— Teraz od pana zależy uratować żonę, owoc jaki nosi w swem łonie, i razem z niemi wyrwać siebie z otchłani. Staraj się o roztargnienie dla niej, niech więcej używa ruchu i powietrza, wzbudź w niej trochę kokieterji i gustu do ubioru, jednem słowem żyjcie na ziemi a nie w niebie...

Uśmiechnął się serdecznie.

— A będziecie zbawieni — dodałem.

Uściskał mię i rozeszliśmy się jak przyjaciele.

Rodzina zaczęła się powiększać a w roku 1866 było już czworo dzieci. Małżeństwo żyło szczęśliwie zamieniwszy złudne ekstazy na praktyczną rzeczywistość. Ona zrozumiała obowiązki żony i matki, on zasługami wzniósł się na stopień Ouonducka i ujrzał się szczęśliwym wśród rodziny.

W tem spadł cios niespodziewany; wojna cywilna przygotowana ręką zbrodniczą Anglji wybuchła w Birmanji. Cała familja, mąż żona i dzieci zginęli, pomordowani bez miłosierdzia.

ROZDZIAŁ VI.

(Słoń domowy — jego zmyślność. — Słoń biały — cześć jaką mu oddają — Ma-Calder i jego sztuczki — Święty ząb.)

Słoń jest jedynem stworzeniem którego natura obdarzyła trąbą (*probiscis*). Z familji gruboskórnych, dzieli się na dwa gatunki bardzo do siebie zbliżone: słonia Afryki i słonia Azji. Słoń Afrykański mniej duży ale grubszy, przysadkowaty i ciężej zbudowany niż azjatycki, ma kły bardzo długie i grube, ważące często 100 kilogramów para. Słoń Azjatycki smuklejszy i kształtniejszy, jest w ruchach zwinniejszym, ale kły jego doszedłszy do całkowitego rozwoju, nie ważą więcej jak 65 do 70 kilogramów. Słonie obdarzone temi wyrostami zębnemi, mają wielką wyższość nad okazami pozbawionemi podobnej obrony, i można by sądzić, że długość kłów — jeżeli się znajdą — i ich rozmiary, powinneby wskazywać wiek i siłę ich posiadacza. Kły podpadają najrozmaitszym przypadkom i często widzieć można słonia kolosalnych rozmiarów, który ma niewielkie kły, gdy przeciwnie mały stosunkowo i na pozór nie tęgi przedstawiciel gruboskórców, nosi wspaniałe obrony.

Nie będę się rozpisywał nad powierzchownością tego zwierza dobrze nam znanego; za to nie mogę odmówić sobie przyjemności podzielenia się z czytelnikiem niektóremi zadziwiającemi czynami, dowodzącemi jego rozwagi i zręczności, których sam byłem świadkiem.

W Indjach przyzwyczajają słonie do różnych zajęć: jak do obracania maneżów i młynków, a Anglicy używają ich do wprawiania w ruch machin jeszcze więcej skomplikowanych. One to sprowadzają drzewo tecku (*tectona grandis*) bardzo poszukiwane w handlu, często ze znacznych wysokości, gdzie zostaje zrąbane, nad rzeki spławne oddalone niekiedy o mil kilka. Wuczone do tego zajęcia nawet w nieobecności swego dozorcy same prowadzą robotę. I tak dozorca przyprowadziwszy słonia do lasu z kąd ma zabierać drzewo, wskazuje mu robotę, nie troszcząc się więcej o niego. Zmyślne zwierzę zaciąga swój ciężar do rzeki, odczepia za pomocą trąby zaprzęg, powraca do zrębu, zahacza go za lianę opasującą na ten cel pień drzewa, i tak ciągle

powtarza swoją czynność, niezatrzymując się, niezwalniając kroku, aż do chwili gdy po niego wróci dozorca. Nierówne położenie, doły, pagórki, zupełnie go niewstrzymują; siła jego nadzwyczajna pozwala mu zwalczać wszystkie przeszkody bez trudności.

W pobliżu ruin miasta Avy, znajduje się osada Chińczyków i tam pokazywano mi słonia uczonego, który prawdziwie zadziwiające wykonywał sztuki gimnastyczne. Na 50 kroków trafiał zawsze kamieniem w drzewo; wyrzucał w górę do znacznej wysokości kilka obręczy żelaznych łapiąc je wszystkie trąbą w powietrzu; tańczył w pośród jaj i nigdy mu się nieprzytrafiło zdusić które lub choćby potrącić.

Jeden z moich znajomych, młody magnat birmański, ożenił się i na drugi dzień po ślubie, młoda mężatka w gronie swoich towarzyszek wyszła na werandę, otaczającą zwykle domy mające pretensje do okazałości. Ulubiony słoń na którym zawsze wyjeżdżał nasz młody człowiek przechadzał się właśnie natenczas w ogrodzeniu przytykającym do mieszkania. Ujrzawszy grono pięknych kobiet, zbliżył się do barjery z bambusu okalającej mały ogródek z kwitnącemi rabatami, zerwał najpiękniejszy i najwonniejszy kwiat końcem swej trąby, wydał zwykły sobie znaczący krzyk, poruszył uszami i z wesołym wyrazem oczów podniósł kwiat ruchem pełnym galanterji po nad balustradę werandy. Jedna z pań wyciągnęła rękę po kwiat; słoń usunął się, za jej przykładem poszły drugie tak samo bezowocnie próbując szczęścia; pan domu poszedł, lecz chociaż tym razem słoń nie uciekł z kwiatem, jednak go nie wypuścił. Nareszcie młoda mężatka po niejakiem naleganiu ze strony całego towarzystwa, wyciągnęła bojaźliwie rękę i słoń natychmiast z wielką uprzejmością wręczył jej zerwany kwiatek. Łatwo sobie wyobrazić, jak od tego dnia był lubiany i pieszczony. Za autentyczność zdarzenia mogę ręczyć, gdyż byłem przytomny tej scenie.

W czasie mej podróży do Mandelay, płynąc w górę rzeką Irawady, byłem zmuszony zatrzymać się blisko tydzień w Tsile-Mhyo, dość ludnej i handlowej miejscowości, gdzie znajdował się także zwierzyniec i kilka młodych słoni. Jeden z mechaników, których wiozłem z Europy, miał siedmioletniego synka, żwawego i sprytnego chłopaka, którego lubiliśmy wszyscy przezywając go *Kikiki*. Otóż tego malca zabrałem z sobą w celu pokazania mu słoni, i napełniłem mu kieszenie przysmakami aby niemi mógł zwierzęta obdzielić. Dwa młode egzemplarze przechadzały się w ogrodzeniu z grubych palów; na ich widok Kikiki zaczął śmiać się, krzyczeć i tupać, co zwróciło uwagę słoni i zbliżyły się do nas. Mój malec w czerwonym fezie nasadzonym na głowie, począł co tchu wydobywać swój zapas ciast i owoców, podając je słoniom które wsuwały trąby między pale i z apetytem spożywały przysmaki. Kiedy już ostatnie poszło ciasto, jeden z nich ukradkiem porwał malcowi fez z głowy, wsadził sobie na koniec trąby i spacerując tam i napowrót, sam obnosił zdobycz z tryumfem.

Łatwo sobie wyobrazić zdumienie malca. W chęci odzyskania swojej czapki Kikiki począł wywracać kieszenie przeszukując czy nie znajdzie jeszcze jakiej przynęty dla słonia. Ale otóż wpadł mu w ręce bilbokiet i zapominając o przygodzie z fezem, zabawiony nowym cackiem zaczyna podrzucać i łapać kule. Słoń nie był tak dalece zajęty swoją zdobyczą, by niedostrzedz z boku co robi Kikiki. Rzuciwszy ukradkiem spojrzenie w tę stronę, zbliżył się cichaczem, nasadził fez malcowi na głowę, wyrwał mu zabawkę z ręki i krzykiem przywołując swego towarzysza, oddalił się w drugą stronę gdzie obaj zaczęli ćwiczyć się w tej zabawie.

Nie było rady; Kikiki musiał się pożegnać z zabawką. Nadaremnie dozorca wysilał się w perswazjach; slonie udawały że są głuche i za każdem zbliżeniem zmykały w inną stronę. Na drugi dzień obadwa miały już należytą wprawę w łapaniu kuli. (C. d. n.)

W świat!

Zimna niebios twarz nademną
W wieńcu czarnych chmur —
W świat mnie wiedzie drogą ciemną
Smutnych duchów chór.
U stóp moich martwo pada
Zwiędły marzeń kwiat;
Za mną woła rozpacz blada:
W świat sieroto! w świat!

Z mgły jesiennnj promień słońca
Blady uśmiech ślę.
Jak nadzieja konająca
W rezygnacji łzie.
Huczne gwary w koło słyszę,
Lecz któż słyszy, któż?
Te w mem łonie groźne cisze
Nadchodzących burz?

Nikt!... Samotność choć znów budzi
Ciągły gwar i ruch—
Ach! samotny w tłumie ludzi
Mój wyklęty duch!
Płaczem budzi grobów echa
U cmentarnych bram —
Bo dla niego tam pociecha
I nadzieja tam!

Ciszej serce! Jeszcze chwilka,
Jeszcze w czarze łez
Gorżkich, mętnych kropel kilka
A już bliski kres!
Jeszcze tylko trochę siły
Spłacić święty dług —
A już spokój u mogiły
A już ojcem Bóg!

Ciszej serce! Niechaj pęknie
Srebrna złudzeń nić,
Choć strzaskana pierś zajęknie
Niech przestanie śnić...
Szczęścia maro! Cudna maro
Mych wiosennych lat —
Żegnaj! życie jest ofiarą...
W świat sieroto... w świat!

Marja B.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

CZĘŚĆ TRZECIA.

Tajemnica.

ROZDZIAŁ XVI.

(Ciąg dalszy.)

(Kapitan Nemo. — Pierwsze jego słowa. — Historja jednego z bohaterów niepodległości. — Nienawiść najeźdźców. — Towarzysze jego. — Życie podmorskie. — Samotność. — Ostatnie schronienie Nautilusa na wyspie Lincolna. — Tajemniczy genjusz wyspy.)

Na te słowa człowiek leżący na sofie podniósł się i twarz jego stanęła w pełnem świetle. Była to głowa przepyszna, o wyniosłem czole, dumnem spojrzeniu, zdobna śnieżną brodą i bujnemi włosami w tył zarzuconemi.

Człowiek ten oparł się o poręcz kanapy, z której powstał. Spojrzenie miał spokojne. Widocznem było, że jakaś powolna choroba podkopała go stopniowo, ale głos jego zdał się jeszcze silnym, gdy wyrzekł po angielsku, tonem wyrażającym najżywsze zdziwienie:

— Ja nie mam nazwiska, panie...

— Znam pana!... — odpowiedział Cyrus Smith.

Kapitan Nemo wpatrzył się pałającym wzrokiem w inżyniera, jakby go chciał unicestwić.

A potem osuwając się na poduszki sofy:

— Cóż mnie to już zresztą obchodzi—szepnął—za chwilę umrę!

Cyrus Smith zbliżył się do kapitana Nemo a Gedeon Spilett wziął go za rękę, którą znalazł pałającą. Ayrton, Pencroff, Harbert i Nab stali z uszanowaniem na boku, w rogu tej wspaniałej sali, której powietrze przesycały wyziewy elektryczne.

Kapitan Nemo cofnął jednak natychmiast rękę i skinieniem zaprosił inżyniera i korespondenta, aby usiedli.

Wszyscy spoglądali nań z podziwem i wzruszeniem. To więc był ów tajemniczy, którego nazywali „genjuszem wyspy,“ istota potężna, której wdanie się w tylu okolicznościach im posłużyło; dobroczyńca, któremu winni byli tak wielką wdzięczność! Przed sobą mieli tylko człowieka, tam, gdzie Pencroff i Nab spodziewali się znaleźć bóstwo prawie, i to człowieka bliskiego śmierci.

Jakżeż się to jednak stać mogło, że Cyrus Smith znał kapitana Nemo? I dla czegóż kapitan powstał tak żywo, słysząc wymówione imię, które sądził być tajemnicą dla wszystkich?...

Kapitan zajął znowu poprzednie miejsce swoje na sofie i oparty na ręku spoglądał na siedzącego obok inżyniera.

— Znasz więc pan nazwisko, które nosiłem? — zapytał.

— Znam je — odpowiedział Cyrus Smith — tak jak i nazwisko tego godnego podziwu podmorskiego przyrządu.

— *Nautilus?* — rzekł z pół uśmiechem kapitan.

— *Nautilus.*

— Wiesz-że pan jednak... wiesz-że, kim jestem?

— Wiem także...

— A jednak od trzydziestu lat już nie mam najmniejszego stosunku ze światem zamieszkałym; trzydzieści lat już jak żyję w głębokościach morza, jedynem miejscu, kędy niepodległość znalazłem! Któż więc mógł zdradzić moją tajemnicę?

— Człowiek który nie przyjął nigdy na siebie w obec pana, kapitanie Nemo, żadnych zobowiązań pod tym względem, a więc nie ulegający oskarżeniu o zdradę.

— Więc to ów Francuz, którego przypadek rzucił na mój pokład, szesnaście lat temu?

— Tak, to on.

— A zatem on i jego towarzysze nie zginęli w Maëlstromie, w który *Nautilus* się dostał.

— Nie zginęli — i pojawiło się pod tytułem „Dwadzieścia tysięcy mil pod morzem“ dzieło zawierające historję pańską.

— Historję moją z kilku miesięcy tylko, panie — odrzekł żywo kapitan.

— To prawda — rzekł Cyrus Smith — ale kilka miesięcy owego osobliwego życia wystarczyło, ażeby pana poznać.

— Jako wielkiego winowajcę, nieprawdaż? dokończył kapitan Nemo i po ustach jego przesunął się uśmiech wyniosły. O tak, jako buntownika, wywołanego przez ludzkość.

Inżynier nic nie odpowiedział na to.

— Cóż, czy nie tak, panie?

— Nie do mnie należy sąd o kapitanie Nemo, — ozwał się wreszcie Cyrus Smith — przynajmniej w tem, co się tyczy przeszłego jego życia. Nie znane mi są, jak i całemu światu, czynniki tego osobliwego bytu, niepodobna mi więc sądzić o skutkach, nie znając przyczyn; to jednak wiem, że dobroczynna ręka wyciągała się wiernie nad nami od chwili przybycia naszego na wyspę Lincolna, że wszyscy winniśmy życie istocie dobrej, wspaniałej, potężnej, i że tą istotą potężną, dobrą i wspaniałą pan jesteś, kapitanie Nemo!...

— Tak, to ja — odrzekł z prostotą kapitan.

Inżynier i korespondent powstali. Towarzysze się zbliżyli i wdzięczność przepełniająca im serce już miała się wyrazić gestami i słowy...

Ale kapitan Nemo powstrzymał ich skinieniem, i głosem silniej wzruszonym, niż tego chciał niewątpliwie:

— Skoro mnie wysłuchacie!...*) — rzekł.

I tak zacząwszy, w kilkunastu treściwych i pospiesznych słowach dał im poznać całe swoje życie.

Historja jego była krótka a jednakże musiał skupić resztę energji, aby módz ją dokończyć. Widocznem było, że walczył przeciw niezmiernemu osłabieniu. Kilkakrotnie Cyrus Smith prosił go, aby odpoczął, ale kapitan potrząsał głową jak człowiek, do którego jutro nie należy, a gdy korespondent zaofiarował mu się z pomocą;

— Na nic by się nie przydała — odrzekł— godziny moje policzone.

Kapitan Nemo był to Indjanin, książę Dakkar, syn rajaha z terytorjum Bundelkundu wówczas niezależnego, a siostrzeńcem bohatera Indyj, Tippo-Saiba. Ojciec już w szóstym roku życia wysłał go do Europy, aby mu tam dano zupełne wychowanie, i w skrytej intencji uzdolnienia go do walki przyszłej na równą broń z tymi, których uważał za gnębicieli swego kraju.

Od dziesiątego do trzydziestego roku życia książę Dakkar, obdarzony wyjątkowemi wolnościami, wykształcił się w naukach, literaturze, sztukach i zaszedł w studjach swoich bardzo wysoko.

Książę Dakkar zwiedził całą Europę. Urodzenie jego i majątek sprawiały, iż go ogólnie poszukiwano, ale uroki świata nigdy go nie mogły przywabić. Młody i dorodny, pozostał poważnym, ponurym, wiecznie pożeranym pragnieniem wiedzy, z nieubłaganą nienawiścią wrosłą w serce.

Książę Dakkar nienawidził. Nienawidził jedyny kraj, gdzie nie chciał nigdy stąpić nogą, jedyny naród, którego wszystkie oznaki przychylności stale odpychał: nienawidził Anglję i to tem mocniej, że nie w jednym punkcie musiał ją podziwiać.

*) Historja kapitana Nemo była w istocie ogłoszoną pod tytułem: „Dwadzieścia tysięcy mil pod morzem.“ Tutaj także należy powtórzyć ostrzeżenie, już raz umieszczone przy okoliczności przygód Ayrtona, co do niezgodności niektórych dat. Czytelnicy zechcą łaskawie zajrzeć do powyższego przypisku. (Przyp. autora.)

Bo ten Indjanin streszczał w sobie wszystkie dzikie wstręty zwyciężonego do zwycięzcy. Najezdnik nie mógł znaleźć łaski u najechanego. Syn jednego z owych władców, których służebnictwo Zjednoczone królestwa tytułem tylko ozdobiły; książę wychowany w pojęciach rewindykacji i pomsty, żywiący niezgasłą miłość dla swego poetycznego kraju w angielskich kajdanach, nie chciał nigdy stąpić nogą na ową ziemię dlań przeklętą, której Indje zawdzięczały niewolę.

Książę Dakkar stał się artystą, na którego cuda sztuki wywierały szlachetne wrażenie; uczonym któremu nic z najwyższych sfer wiedzy obcem nie było; mężem stanu, wyrobionym wśród europejskich dworów. W oczach wszystkich, którzy go obserwowali niedokładnie, uchodził może za jednego z owych kosmopolitów ciekawych nowości, a lekceważących pracę, za jednego z owych przebogatych podróżników, z umysłem dumnym i platonicznym, którzy przebiegają bezustanku świat cały, nie należąc właściwie do żadnego kraju.

A jednakże nie był niczem podobnem. Ten artysta, ten uczony, ten człowiek pozostał Indjaninem w sercu, Indjaninem przez żądzę pomsty, Indjaninem przez nadzieję wiernie karmioną, iż zdoła kiedyś upomnieć się o prawa swego kraju, wypędzić zeń cudzoziemców i niepodległość mu przywrócić.

To też książę Dakkar powrócił do Bundelkundu w r. 1849. Zaślubił szlachetną Indjankę, której serce krwawiło się tak jak jego własne nad nieszczęściami ojczyzny. Miał z nią dwoje dzieci, które niezmiernie kochał. Ale i szczęście domowe nie mogło mu wydrzeć z pamięci niewoli Indyj. Oczekiwał tylko na sposobność — i ta się zdarzyła.

Jarzmo angielskie ociężyło się może nieco zanadto nad ludnością indyjską. Książę Dakkar połączył się z niezadowolonymi. Przelał w ich umysł wszystką nienawiść, jaką pałał przeciw najezdnikom. Przebiegł nie tylko okolice jeszcze niezależne półwyspu indyjskiego, ale także i części bezpośrednio podległe zarządowi angielskiemu. Przywołał do pamięci wszystkim wielkie dni Tippo Saiba, poległego bohatersko pod Seringapatam, w obronie rodzinnego kraju.

W 1857 wielki bunt cipayów wybuchnął. Książę Dakkar był jego duszą. Zorganizował niezmierne powstanie. Oddał swoje talenta i bogactwa na usługi tej sprawy. Nie szczędził nawet swojej osoby i walczył w pierwszych szeregach; ważył życie swoje jak najmniejszy z owych bohaterów, którzy powstali dla wybicia się z niewoli; otrzymał dziesięć ran w dwudziestu starciach, i nie mógł znaleźć śmierci nawet wówczas, gdy ostatni żołnierze niepodległości padli pod angielskiemi kulami.

Nigdy władza angielska w Indjach nie była w takiem niebezpieczeństwie, i gdyby, jak właśnie mieli nadzieję, i gdyby cipay'e znaleźli byli pomoc z zewnątrz, kto wie, czy nie byłby to kres wpływowi i panowaniu trzech królestw w Azji.

Imię księcia Dakkar grzmiało wówczas rozgłośną sławą. Bohater noszący je, nie krył się i toczył walkę otwartą. Naznaczono cenę na jego głowę — i chociaż nie znalazł się zdrajca, coby go wydał, — ale ojciec, matka, żona i dzieci zapłaciły za winy jego i to pierwej nim doszło do jego wiedzy grożące im niebezpieczeństwo.

Prawo i na ten raz jeszcze uległo sile. Ale bo cywilizacja nie cofa się nigdy i zda się, że prawa jej zapożyczone od praw konieczności. Cipay'ów zwyciężono a kraj dawnych rajahów popadł na nowo pod władzę jeszcze dokuczliwszą Anglików.

Książę Dakkar, po daremnej gonitwie za śmiercią, powrócił w góry Bundelkundu. Tu, teraz już sam jeden tylko na świecie, przejęty niezmiernym wstrętem do wszystkiego, co nosiło imię człowieka, pełen nienawiści i zgrozy dla cywilizowanego świata, pragnąc uciec przed nim na zawsze, zrealizował szczątki swego majątku, zebrał dwudziestkę najwierniejszych towarzyszy i pewnego dnia wszyscy gdzieś zniknęli.

Dokąd że to więc udał książę Dakkar poszukiwać owej niepodległości, której mu odmówiły zamieszkałe ziemie? Pod wodami, w głębokościach mórz, gdzie nikt nie mógł pójść za nim w pościgi.

Miejsce wojownika zastąpił uczony. Opuszczona wyspa na Oceanie spokojnym posłużyła mu do urządzenia warstatów, w których zbudowano statek podmorski wedle jego planów. Elektryczność, której nieobliczoną siłę mechaniczną umiał wyzyskać za pomocą środków, jakie się w swoim czasie odkryją — i którą dobywał z niewyczerpanych źródeł, zaspokoiła wszystkie potrzeby jego pływającego przyrządu, już to jako siła poruszająca, już jako oświetlająca i ciepłodajna. Morze ze swemi niezliczonemi skarbami, z myrjadami ryb, z obfitością ziół i galaret, z niezmiernemi ssakami i tem wszystkiem, co w głębiach jego nietylko przyroda utrzymuje ale i ludzie pogubili, wystarczało w zupełności na zaspokojenie potrzeb księcia i załogi, — co odpowiadało właśnie najgorętszym jego życzeniom, nie chciał już bowiem mieć żadnego stosunku z ziemią. Ochrzcił swój przyrząd podmorski mianem *Nautilus*, sam się nazwał kapitanem Nemo i znikł pod morzami.

Przez ciąg wielu lat kapitan widział wszystkie oceany od jednego do drugiego bieguna, Parja zamieszkałego świata, zebrał w tych światach nieznanych godne podziwu skarby. Miljony zgubione w zatoce Vigo w r. 1702 przez galjony hiszpańskie stały się dla niego niewyczerpaną kopalnią bogactw, którą rozporządzał ciągle a bezimiennie na korzyść ludów walczących o niepodległość swego kraju*)

Bądź co bądź jednak, oddawna już nie miał kapitan najmniejszego stosunku z ludźmi, gdy naraz w nocy 6. listopada 1866 przypadek rzucił trzech ludzi na pokład jego. Byli to: pewien profesor francuski, służący jego i rybak kanadyjski. Trzej ci ludzie spadli w morze przy starciu się *Nautilusa* z fregatą „Abraham Lincoln“ należącą do Stanów Zjednoczonych a ścigającą przyrząd podmorski.

Od tego profesora dowiedział się kapitan Nemo, że na *Nautilusa*, — którego jedni uważają za olbrzymiego ssaka z rodziny wielorybów, a drudzy za przyrząd podmorski mieszczący w sobie załogę korsarzy, — zarządzono pościgi na wszystkich morzach.

Kapitan Nemo mógł zwrócić Oceanowi trzech ludzi, których los rzucił w ten sposób na jego tajemniczą drogę. Nie uczynił tego jednak, ale zatrzymał ich jako więźniów, i przez siedem miesięcy dał im możność podziwiania cudów podróży, odbytej na przestrzeni dwudziestu tysięcy mil pod morzami.

Pewnego dnia, 22go czerwca 1867, trzej

*) Mowa tu o powstaniu Kandjotów, któremu istotnie w powyższych warunkach kapitan Nemo pomagał

owi ludzie, nie znający bynajmniej przeszłości kapitana Nemo, zdołali się wymknąć, pochwyciwszy łódź należącą do *Nautilusa.* Ponieważ jednak w tej chwili właśnie *Nautilus* pędził ku wybrzeżom Norwegji, porwany przez wiry Maelstromu, kapitan sądził, że zbiegi, pochwyceni w ten przerażający zamęt, znaleźli śmierć w głębiach przepaści. Nie wiedział zaś o tem, że Francuz i dwaj jego towarzysze cudem prawie wyrzuceni na wybrzeże, znaleźli ratunek u rybaków z wysp Loffoden, i że profesor za powrotem do Francji ogłosił dzieło, w którym siedem miesięcy owej osobliwej i awanturniczej żeglugi *Nautilusa* opowiedziane było i wydane ciekawości publicznej.

Długi czas jeszcze kapitan Nemo, żył w podobny sposób, włócząc się po morzach. Powoli jednak towarzysze jego powymierali i poszli spocząć na swoich koralowych cmentarzach, na dnie Spokojnego Oceanu. *Nautilus* stawał coraz bardziej pustką i wreszcie kapitan Nemo pozostał sam ze wszystkich, którzy się wraz z nim schronili w głębokościach Oceanu.

Kapitan Nemo miał wówczas lat sześćdziesiąt. Znalazłszy się samotnym, zdołał doprowadzić swego *Nautilusa* do jednego z portów podmorskich, w których się niegdyś na czas pewien zatrzymywał.

Jeden z takich portów wyżłobiony był pod wyspą Lincolna i on to właśnie udzielał obecnie *Nautilusowi* schronienia.

Od sześciu lat kapitan znajdował się już tutaj, nie żeglując więcej, ale oczekując śmierci, to jest chwili połączenia się z towarzyszami, gdy przypadek zrobił go świadkiem spadnięcia balonu unoszącego jeńców Południa. Ubrany w przyrząd do nurkowania, kapitan przechadzał się pod wodą, w odległości kilku węzłów od wybrzeża wyspy, właśnie w chwili, gdy inżynier wpadł w morze. Szlachetny poryw popchnął kapitana — i ocalił życie Cyrusowi Smithowi.

Z początku kapitan postanowił uciec przed tymi pięciu rozbitkami, ale port jego był zamknięty,—wskutek bowiem podniesienia się bazaltu, co pochodziło z wpływów wulkanicznych, przyrząd nie mógł się już wydostać przez wejście do krypty. Było jeszcze dosyć wody dla lekkiej łodzi, ale za mało dla *Nautilusa* zagłębiającego się o wiele znaczniej.

Kapitan Nemo pozostał tedy w miejscu, a następnie, zaczął przypatrywać się tym ludziom rzuconym bez wszelkich zasobów na pustą wyspę. Nie chciał być jednak od nich widzianym. Powoli jednak, widząc ich tak uczciwymi, energicznymi, przywiązanymi do siebie wzajem braterską przyjaźnią, począł interesować się ich usiłowaniami. Prawie pomimo swojej woli przeniknął wszystkie tajemnice ich bytu. Przy pomocy swojego stroju do podwodnych wycieczek, łatwo mu było dostać się do dna studni Granitowego Pałacu, a ztąd wdrapawszy się po wypukłościach skały aż do otworu wyższego tej studni, słyszał osadników opowiadających o swojej przeszłości, badających teraźniejszość i przyszłość. Dowiedział się od nich o niezmiernym wysiłku Ameryki przeciw Ameryce samej w celu zniesienia niewolnictwa!... O tak! ci ludzie godni byli pogodzić kapitana Nemo z ową ludzkością, którą tak zacnie przedstawiali na wyspie!

Kapitan Nemo ocalił życie Cyrusowi Smithowi. On to również doprowadził psa do „dymników,“ on do przylądka rozbitków przypławił ową skrzynię wyładowaną tyloma niezbędnemi dla osadników przedmiotami; on odepchnął łódź na wody „Dziękczynnej,“ on zrzucił linę z progu Granitowego Pałacu podczas napadu małp; on to dał znać o obecności Ayrtona na wyspie Tabor przez umieszczenie dokumentu zamkniętego w butelce; on wysadził bryk wybuchem torpilli założonej w głębi kanału; on uratował Harberta od pewnej śmierci. przyniósłszy siarczan chininy, on wreszcie poraził korsarzy kulami elektrycznemi, których tajemnicę znał i używał w swoich podmorskich łowach. Tak to wyjaśniało się tyle wypadków, wydających się nadprzyrodzonemi, a które wszystkie razem świadczyły o wspaniałomyślności i potędze kapitana.

A wciąż jeszcze ten wielki mizantrop uczuwał pragnienie czynienia dobrze. Pozostawało mu jeszcze wiele użytecznych rad do dania swoim protegowanym, a z drugiej strony, czując bicie swojego serca, wracającego do naturalnych właściwości przy zbliżeniu śmierci, wezwał, jak to już nam wiadomo, osadników z Granitowego Pałacu za pomocą druta, którym połączył zagrodę z *Nautilusem,* posiadającym także przyrząd alfabetyczny. Może byłby tego nie uczynił, gdyby był wiedział, że Cyrus Smith zna dostatecznie jego historję do pozdrowienia go mianem kapitana Nemo.

Kapitan skończył swą opowieść. Wówczas Cyrus Smith zabrał głos i przypomniał wszystkie zdarzenia, które na osadę wywarły wpływ tak zbawienny i w imieniu towarzyszy zarówno jak i w swojem własnem złożył dzięki wspaniałomyślnej istocie, której tyle byli winni.

Ale kapitan Nemo ani myślał wymagać jakiejkolwiek nagrody za tyle oddanych przysług. Ostatnia myśl niepokoiła jeszcze jego duszę i nim ścisnął jeszcze rękę, podawaną mu przez inżyniera:

— A teraz, panie — rzekł — teraz, skoroś poznał moje życie, osądź je!

Mówiąc to, kapitan robił widocznie aluzję do znaczącego wypadku, którego trzej cudzoziemcy, rzuceni na pokład *Nautilusa* byli świadkami, zdarzenia, które profesor francuski musiał niewątpliwie opowiedzieć w swojem dziele i to na pewno nie bez wywołania straszliwego rozgłosu.

W istocie, na kilka dni przed ucieczką profesora i dwóch jego towarzyszy, *Nautilus* ścigany przez jakąś fregatę na północy Atlantyku, uderzył na nią jak taran i bez miłosierdzia ją zatopił.

Cyrus Smith zrozumiał to napomknięcie, ale powstrzymał się od odpowiedzi.

— To była fregata angielska, panie — zawołał kapitan Nemo, stawszy się na chwilę znowu księciem Dakkarem — angielska, czy mnie pan rozumiesz!... Uderzała na mnie! Przyparty byłem w zatoce ciasnej i niedosyć głębokiej!... Musiałem przejść i... przeszedłem!...

A po chwili spokojnym już głosem:

— Po mojej stronie była słuszność i prawo — dodał. — Wszędziem robił tyle dobrego ile zdołałem, i tyle złego, ilem był powinien. Cała sprawiedliwość nie mieści się w przebaczeniu.

Kilka chwil milczenia nastąpiło po tej odpowiedzi — i kapitan Nemo powtórzył po raz drugi...

— Cóż więc myślicie o mnie, panowie?

Cyrus Smith wyciągnął rękę do kapitana i na pytanie jego odrzekł uroczyście.

— Kapitanie! Całą twoją winą, żeś wierzył w możność wskrzeszenia przeszłości, i że walczyłeś przeciw konieczności postępu. Był to jeden z owych błędów, które jedni podziwiają, drudzy ganią; ale sam Bóg tylko sędzią ich być może, a rozum ludzki musi je odpuścić. Kto się myli w intencji, którą za dobrą uważa, można z tym walczyć, ale przestać go szanować nie wolno. Błąd twój należy do takich, które nie wykluczają uwielbienia, i imię twoje nie potrzebuje się obawiać niczego od sądu dziejów. Lubią one bowiem bohaterskie szaleństwa, choć jednocześnie potępiają skutki ich wypływem będące.

Pierś kapitana Nemo wzniosła się westchnieniem, a ręka wyciągnęła się ku niebu.

— Miałżem, czym nie miał słuszności? — szepnął.

Cyrus Smith ciągnął dalej...

— Wszystkie wielkie czyny powracają do Boga, bo od niego pochodzą! Kapitanie Nemo, uczciwi ludzi tutaj zebrani, a którym tylekroć pomagałeś, nigdy cię opłakiwać nie przestaną.

Harbert zbliżył się do kapitana. Przykląkł, ujął go za rękę i pocałował.

Łza się stoczyła z oczu umierającego:

— Błogosławię ci, dziecię moje! — wyrzekł. (C. d. n.)

Tak być musiało.

Powieść.

Napisał

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

X.

Pierwsze zakłopotanie szczęśliwie minęło i Edmund z Tonią byli jak dawniej na stopie poufałej. Wprawdzie rzadziej teraz żartowali, o psotach mowy więcej nie było, za to między narzeczonymi zapanowała owa słodka poufałość, która dla dwojga młodych ludzi niezłączonych jeszcze pierścieniem małżeństwa jest skarbem największym, roskoszą prawdziwą. Chwile spędzone wśród takiej poufałości wystarczają na długi bieg życia, nawet w latach późnych są jeszcze najmilszem wspomnieniem.

Edmund z dniem każdym przywiązywał się bardziej do Toni, i szczerze robił sobie wymówki, że sam nie prosił o jej rękę i jakiś czas niepokoił się przyszłością. Każdego dnia, niemal każdej godziny odkrywał w niej nowe zalety, których dawniej nie dostrzegł, a im sumienniej zastanawiał się nad sobą, tem silniej utwierdzał się w przekonaniu, że sam będzie szczęśliwym i ją uszczęśliwi.

Tonia nie pragnęła więcej — ona już teraz była najszczęśliwszą. Dla niej wystarczało widzieć Edmunda, rozmawiać z nim, i wespół plany układać, które miały się urzeczywistnić w przyszłości tak niedalekiej. A plany to nie były zuchwałe, bynajmniej! Oto major postanowił, że Edmund z żoną zamieszkają w Romanówce, gdzie na ich przyjęcie urządzono dom, opuszczony od lat kilkunastu. Tam Tonia obiecywała sobie mieć piękny ogród kwiatowy, drugi warzywny, ładne bydełko, i altankę nad małą rzeczułką, która nieopodal domu przepływała, tam miała żyć z Edmundem i tam być szczęśliwą według swego wyobrażenia, szczęśliwą spokojnie, jak kobieta na wsi żyjąca, która po za domowem ogniskiem nic nie widzi, bo w czterech ścianach zamknięte wszystkie jej pragnienie i marzenia.

— A i to mnie cieszy — mawiała do Edmunda — że z Romanówki będziemy mieli do Warnowiec jeszcze bliżej jak ztąd. Ile razy znudzę cię moją miłością, pozwolę ci pojechać do pana Olpińskiego aby swoją nauką jeszcze bardziej cię wynudził.

— O ty luba figlarko! — odpowiadał Edmund, całując jej paluszki różowe.

Jaka szkoda, że na tem pogodnem niebie była chmurka, która od czasu do czasu niepokoiła naszych przyjaciół. Tą chmurką była matka Toni.

Podrażniona w swojej miłości własnej, usiłowała z początku wpłynąć na córkę, by ona sama jeżeli już nie zerwała, to przynajmniej zwlekła projektowane małżeństwo. Zjawisko atoli godne zastanowienia, że Tonia, która od dziecka była słodką, zawsze uległą, nigdy upartą, tym razem nie usłuchała woli matki. Gdy pani Katarzyna przemawiała do uczucia, córka siedząc z głową zwieszoną, cicho płakała, a gdy nie mogąc powstrzymać dłużej irytacji, wylewała potoki oskarżeń, nazywając ją dzieckiem wyrodnem, — Tonia ze zdziwieniem podnosiła na matkę oczy spokojnie, a w ich lazurze można było wyczytać zapytanie: czy dla tego że kocham, jestem córką wyrodną? Każda taka rozmowa kończyła się ucałowaniem ręki matki i słowami:

— Przepraszam cię mateczko, ja wszystko uczynię by cię przebłagać.

Daleką jednak była od uczynienia tego, co pani majorowa uważałaby za jedyne przebłaganie swego gniewu. Nie tylko bowiem nie unikała Edmunda, lecz po każdej rozmowie z matką natychmiast szukała bądź jego, bądź ojca, by przy nich nabrać nowych sił i otuchy. Skarżyć, nie skarżyła się przed nimi, nawet nigdy słowem nie wspominała jakie sceny przechodzi z własną matką. Edmund jednak bez trudności domyślał się wszystkiego, a chcąc wedle siły przyczynić się do stworzenia innych stosunków, był dla przybranej matki jeszcze grzeczniejszym jak dawniej i gdyby mógł, byłby dla niej nawet czułym. Do udawania jednak nie mógł się nagiąć, co widząc pani majorowa często powtarzała przed ukochana Pędracką.

— Jak się przymila ta gadzina, ale zawsze chytra i zimna jak wąż. Już on mię nie oszuka!

Mając takie przekonanie o usposobieniu Edmunda, była dlań zawsze zimną i o ile to było w jej mocy, usiłowała okazać mu swoją wyższość i lekceważenie. Edmund połykał gorzkie pigułki, lecz także ani się skarżył, ani nawet o nich wspominał.

Major wiedział co się do koła niego działo, Przez kilka wieczorów z rzędu, pani Katarzyna konferowała z Pędracką i nareszcie musiały ułożyć jakiś plan bardzo ważny, bo pewnego ranka klucznica wybrała się przed wschodem słońca do swego brata, który jak wiemy, był nauczycielem ludowym, wioząc mu różne wiktuały; wróciła zaś tajemniczo dopiero późnym wieczorem. Pani majorowa była tego dnia niespokojną i roztargnioną.

W kilka dni przyszedł do majora list ze stolicy. P. Zawilski siedział właśnie na terasie sam jeden i palił fajkę czytając gazetę z dnia poprzedniego. Otworzywszy list spojrzał jak według zwyczaju na podpis. Kilka minut przypatrywał mu się uważnie, obracajac papier z różnych stron do światła, lecz nie mógł nic odczytać. Był to bowiem nie podpis, ale jakiś hieroglif, podobny chyba do podpisu sułtana na monetach tureckich. Dając za wygrane, rzucił okiem na pierwszą stronicę i zaczął czytać, ale już z pewnem niedowierzaniem.

I cóż znalazł w tym liście, którego autor otaczał się taką tajemniczością? Oto jakiś nieproszony przyjaciel uwiadamiał majora, że pan Edmund Krzemieński, narobiwszy we Wiedniu długów bez miary i uwiódłszy pewną dziewczynę, nagle ztamtąd wyjechał i ukrył się we Wolicy, gdzie zapewne tak prędko oświadczył się o rękę panny Zawilskiej, że jej posagiem chce swoje długi popłacić. Piszący ostrzegał majora, któremu dobrze życzy, by nie wydawał jedynaczki za takiego lekkomyślnika, a jeżeli nie wierzy tym słowom, by wpierw starał się przekonać o prawdziwości zarzutów.

W miarę jak pan Zawilski czytał, twarz jego stawała się coraz czerwieńszą, żyły mu nabrzmiały na skroniach, i fajka z ręki wypadła. Gdy skończył, zmiął list i z pospiechem gorączkowym udał się do pokoju żony, którą samą zastał.

— Moja pani! — zawołał głosem drzącym od gniewu i list jej pokazując — moja pani, tego już za wiele! Maltretujesz córkę, ja milczę, maltretujesz Edmunda, ja milczę, ale gdy się rzucasz na taką drogę, przestaję milczeć! Czy mnie pani rozumiesz? Takie postępowanie nie jest godne mojej żony! Zanadto głupio zrobiłaś waćpani, bym się dał złapać! Edmund ma długi... Edmund uwiódł biedną dziewczynę! Trzeba by chyba takiego rozumu jak twój aby w to uwierzyć! Edmund oświadczył się o Tonię, aby swoje długi popłacić!... Oszalała kobieta! Jeszcze raz ci powtarzam, moja pani, że tego za wiele! Edmundowi daję Tonię, słowa mego nie cofnę, a jeżeli ty nie zmienisz swego postępowania, jeżeli dalej będziesz intrygowała ze swoją kochaną Pędracką, jak mię tu widzisz, wyprowadzę się z dziećmi do Romanówki, a ciebie tu zostawię! Jeżeli chcesz skandalu, będziesz go miała!

Major mówił tak dobitnie, że pani Katarzyna nie miała odwagi przerwać; całej reprymendy wysłuchała z niepokojem w oczach, a bladością na rumianych zwykle policzkach. Widząc się odkrytą, bała się usprawiedliwiać, a znając swego męża, wiedziała, że dotrzyma groźby; milczenie było zatem najlepszą polityką. Widząc zerwane za sobą wszystkie mosty, zmieniła się od tego dnia przynajmniej o tyle, że od córki już nie żądała rzeczy przechodzącej jej siły, dla Edmunda była tylko obojętną, mężowi okazywała dawną tkliwość, a co najważniejsze, brała nawet udział w naradach familijnych nad przysłością młodych ludzi. Między nią a resztą mieszkańców dworu we Wolicy, przyszło zatem do zawieszania broni, po którem miał nastąpić bądź pokój trwały, bądź nowa wojna.

Co się działo z hrabią Dziuniem? Ten bardzo rychło dowiedziawszy się o wszystkiem, wyjechał na jesienne wyścigi do stolicy, gdzie spodziewał się znaleść jeszcze piękniejszą, młodszą i posażniejszą jedynaczkę niż Tonia.

Nadszedł dzień w którym miał nastąpić uroczysty obrzęd zaręczyn.

Sąsiedztwo zjechało się całe, stary dwór, chociaż obszerny, ledwie pomieścił tyle gości. Sama ceremonja zamiany pierścionków, poświęconych przez proboszcza z Romanówki, nie zajęła wiele czasu; zato długo trwały życzenia składane narzeczonym i błogosławieństwa rodziców. Major spłakał się jak dziecko, — pani Katarzyna miała także łzy w oczach... nareszcie matka i w niej zwyciężyła.

— Panno Antonino, — zawołał pan Krzysztof rozpoczynając swoje gratulacje. — Słowo honoru, niktby nie uwierzył jak mnie to cieszy, że pani tak prędko za mąż wychodzi. Jeszcze ten nie pożałował kto się wcześnie ożenił, słowo honoru panno Antonino! Moja Kostusia nie wielka, ma dopiero dziesięć lat, ale słowo honoru dałbym pięć... nie, dałbym pięćdziesiąt, sto reńskich, żeby się jak najprędzej wydała. Bo to widzi panna Antonina, jak córka za mąż wyjdzie, rodzice mają zaraz głowę wolniejszą, a jej także lepiej, słowo honoru lepiej, bo ma już swojego męża. O panno Antonino! ja już nie od dziś wiedział, że to się tak skończy! Nie raz mówiłem do mojej starej: Zobaczysz że oni się pobiorą, słowo honoru, mówiłem. Ej toż to pohulamy na weselu!

Pan Krzysztof nie mógł wynurzyć wszystkich swoich życzeń, bo do Toni zbliżyło się kilka innych osób, między niemi dwie damy, którym szanowny właściciel Dąbrówki z przyległościami, musiał przez grzeczność miejsca ustąpić.

Po herbacie znalazła się gdzieś muzyka, i w salonie ozwały się tony poważnego poloneza. Ruszyli starzy, ruszyła młodzież, wszyscy złączyli się w jeden wieniec żywy. Potem zagrzmiał mazur ochoczy, a tak był ochoczy, że aż stare ściany drżały z radości.

W jednym z dalszych pokojów gospodarz siedział z hrabią Olpińskim.

— Jakże kochany Kazimierzu zarządzasz?— zapytał hrabia. — Młodzi zapewne tu zostaną?

— Oddaję im Romanówkę — odpowiedział major; — majątek Edmunda nie wielki, przytem piaszczysty, chłopiec miałby z nim dużo kłopotów zwłaszcza w początkach; a tu zastanie ziemię dobrą i gospodarstwo urządzone. Zresztą jabym bez nich żyć nie umiał, a mam ja się przenosić na Mazury, to przecie lepiej aby oni tu zostali.

— Masz rację kochany sąsiedzie, masz rację, nie zaszkodzi także, że chłopca będziesz miał pod okiem. To jeszcze młode, niedoświadczone, a młode piwo, jak powiada Hermina, lubi czasem szumieć.

— Więc zamiast Monteskjusza cytujesz teraz panią Herminę? — podchwycił major wesoło.

— E! Montesquieu swoją drogą, a Hermina swoją... Bo to widzisz mój Kazimierzu, kilka dni temu rozmawiając z Herminą, przekonałem się, że i kobiety miewają czasem rozum.

— Ja o tem nigdy nie wątpiłem.

— A ja wątpiłem, bo tylko historja i filozofja uczą rozumu, kobiety zaś uciekają od historji a jeszcze bardziej od filozofji, jak czart od wody święconej. Hermina jednak powiedziała mi coś takiego, nad czem już trzeci dzień myślę, nawet zaczynam się niepokoić...

— Cóż to być może?

— Oto zrobiła uwagę, że Edmund jeszcze nie wyszumiał.

— Więc?

— Więc broń Boże gotów później szumić...

— Mój kochany Eustachy — odrzekł major poważnie — na to chyba nie ma rady. Kto przewidzi co będzie!? O ile mnie się zdaje, Edmund nie ma złych skłonności, przynajmniej dotąd żadnej w nim nie odkryłem, a gdyby z czasem strzeliło mu co do głowy, nie zostanie w niej długo, bo chłopiec ma dobre zasady. Zresztą muszę ci i to powiedzieć, że Tonia nie jest tak potulną, jak na oko wygląda. Widziałem ją teraz w cichej walce z matką i dalipan poznaję w niej moją krew! Już ona da sobie radę z mężem, choćby się znarowił kiedy.

— Cieszy mię twoja ufność Kazimierzu,

bardzo mię cieszy, i szczerze ci winszuję — odpowiedział hrabia ściskając rękę przyjaciela.

— Lecz czy dałbyś wiarę Eustachy, że po ostatniem widzeniu się naszem otrzymałem list bezimienny ostrzegający mię przed Edmundem.

— List bezimienny? — powtórzył hrabia i ręką machnął wzgardliwie. — Montesquieu powiedział... gdzie to on powiedział?... Aha! w księdze XII rozdział XXIV, że dla anonima najmniejszą jest karą gdy mu się nie wierzy.

W saloniku, przez którego drzwi otwarte widać było liczne pary tańcujące, stała Tonia z Herminą. Pierwsza była rozpromieniona, — druga poważna.

— Wierz mi Toniu — mówiła hrabina — według mego przekonania nie mogłaś zrobić lepszego wyboru.

— Dziękuję ci moja droga! — odpowiedziała Tonia całując ją z uniesieniem.

— Z tem wszystkiem muszę ci dać ważną przestrogę...

— Jaką?

— Nie bądź zbyt dobrą dla męża.

— Chyba żartujesz Hermino! Albożmożna być nadto dobrą?

— O można, moje dziecię, a właśnie ty należysz do istot, które dobrocią mogą nawet zgrzeszyć.

— Doprawdy? Ja cię nie rozumiem.

— Pozwól, a zaraz się wytłumaczę. Ogólnie utrzymują, że my, kobiety, jesteśmy wrażliwe, zmienne, płoche i Bóg wie jakie... Ja jednak miałam czas przekonać się, że mężczyźni są stokroć wrażliwsi, ale że oni piszą dzieła i wyrokują, więc ich sąd o nas utrzymał się bez trudności, nam zaś pozostało tylko życie z jego doświadczeniami. Otóż sądząc z tego życia, muszę wyznać, że mężczyźni broją nie raz bez miary...

— Ty mnie przestraszasz Hermino!

— Nie lękaj się Toniu, moje przypuszczenie nie jest jeszcze wyrocznią. Wcale nie myślałam powiedzieć, by Edmund, którego poznałam z najlepszej strony, miał kiedyś broić... bynajmniej! Chciałam cię tylko ostrzedz, byś panicza krótko trzymała, a zobaczywszy cokolwiek natychmiast wypowiedziała swoje „nie pozwalam!“ Energja w kobiecie mężczyznom imponuje, a chociaż z początku zżymają się, w końcu stają się potulnymi jak baranki.

— Mnie się natomiast zdaje — przerwała Tonia — że to raczej my powinneśmy być potulnemi... Na wiosnę tego roku, na tydzień przed powrotem do domu poszłam na odczyt, na którym była mowa o obowiązkach kobiety. Prelegentka bardzo pięknie rozwijała swój temat, a zakończyła uwagą, że żona powinna zawsze słodyczą zwyciężać.

— Ależ to teorja Toniu! Odczyt i książka to jedno, a życie to nie książka... ono z teorją książkową kłóci się na każdym kroku... Powinnaś także wiedzieć moja Toniu droga, że każdy mężczyzna jest jak dziecko... Nie zbroi gdy go pilnują, ale gdy oczy przymkną i sposobność się nadarzy, szał bierze nad nim przewagę. Zły broi dobrowolnie, dobry bo się nie może oprzeć pokusie. — Mówiąca przerwała, bo do saloniku wbiegł Edmund z panem Damazym.

— Toniu! — zawołał — pan Damazy szuka cię, a znaleźć nie może. Przecie mu przyrzekłaś najbliższego kadryla.

Tonia podała rękę panu Damazemu, i odeszła z czołem zamyślonem. Słowa Herminy padły na dno jej duszy.

— A pani, — dodał Edmund obracając się do Herminy — zapewne sobie nie przypomina, że w tym kadrylu ja jestem jej danserem?

— Prawda, żem panu przyrzekła, chociaż żałuję...

— Wolno wiedzieć dlaczego?

— Bo zdaniem mojem powinnieneś pan tańczyć tylko z narzeczoną...

— Ależ toby Tonię znudzić mogło.

— Czy i pana?

Edmund spojrzał bystro na Herminę.

— Do tej chwili nie wiedziałem — rzekł z odcieniem ironji — że pani hrabina umie ranić.

— Ale że umiem także leczyć, więc powiem, że Tonia kocha pana więcej niżli na to zasługujesz.

— Nowa strzała!

— Panie Edmundzie, nie wiedziałam, żeś tak zarozumiały! Więc we własnem przekonaniu na miłość tak zasługujesz, że za wiele nie możesz być kochanym? A mnie się zdaje przeciwnie...

— Dołożę starań pani hrabino, by cię z błędu wyprowadzić.

— Zrób to panie Edmundzie a sprawisz mi prawdziwą przyjemność. Tonia jest aniołem, któremu nie wolno najmniejszej zrobić przykrości, każda jej łza... Ale dosyć tego... My tu rozmawiamy, a tam czekają.

— Służę pani.

I weszli do salonu: hrabina z uśmiechem — Edmund w poważnym nastroju.

Koniec części pierwszej.

Długosz o Elżbiecie trzeciej żonie Jagiełły.

Napisał
Antoni Prochaska.

(Ciąg dalszy).

Nasamprzód chodzi o to, czy nasza Elżbieta w istocie była tak bogatą, ażeby o posiadanie jej ręki i skarbów aż z bronią w ręku dobijać się mieli zagraniczni awanturnicy. Niezaprzeczenie bogate klucze Pilecki i Łańcucki z przemnogą ilością wsi i folwarków, przechodziły wartością nie jedno feudalne księztwo niemieckie, to też łatwo przypuścić, że pokusili się o nie pograniczni morawscy panowie. Lecz z drugiej strony wiemy, że Elżbieta nie odziedziczyła całego majątku po Ottonie z Pilczy, lecz że spora część jego przypadła na rzecz matki jej, Jadwigi. Majątek Jadwigi Pileckiej bądź odziedziczony po mężu, bądź składający się z zakupionych wsi, obejmywał w obwodzie Pilczy, Dobrę [1]), Sławniów [2]), Głuchów [3]), Strzegawę [4]), Zalesie [5]), Niwki [6]), Czangowice [7]), Wolę i Rżanę a nadto Kydów i wójtowstwo w Łańcucie [8]). Nawiasowo przypominamy, iż była ona nadto właścicielką Granowa i Kamieńca majątku zakupionego od Granowskiego. Zresztą troskliwa ta o dobro familji jak i ludzkości matrona, która 1403 r. dwie wsie i dochody z sołtysowstwa w Łańcucie szpitalowi tamtejszemu zapisała [9]), mogła mieć o wiele

[1]) Helcel II. zap. 737.
[2]) ibidem. zap. 881.
[3]) ibidem. zap. 780.
[4]) ibidem. zap. 881.
[5]) ibidem. zap. 581.
[6]) ibidem. zap. 881.
[7]) ibidem. zap. 881.
[8]) ibidem. zap. 909, 965.
[9]) Helcel. II. zapiska 965.

zresztą większy majątek, który atoli nie możemy dokładnie wyszczególnić.

Z tego atoli cośmy o majątku Pileckiej powiedzieli, widoczną jest rzeczą, że nasza Elżbieta nie posiadała całego majątku po Ottonie z Pilczy. Nie weszła ona w posiadanie tegoż nawet po śmierci bogatej swej matki, gdyż ta zapisała wielką część dzieciom jej, Ottonowi i Jadwidze Granowskim [1]). Zresztą po śmierci Granowskiego przypadał majątek tak jego jak i jego żony, dzieciom, których sporo mieli. I tak Stanisława i Jana (Granowskich vel) Pileckich widzimy jako właścicieli wsi Kurowa [2]). Znany nam już Jan posiada snać w późniejszych czasach Czangowice wraz z ważniejszemi od wsi podówczas trzema, „fabrykami żelaza [3]),“ dalej Dobrę [4]), Łoźnice [5]), Mrzygłód miasto i wieś tegoż imienia [6]), Niwki, Kydów [7]), Rzemianowicze [8]) około Opatowca, Bełzicze miasto i obok leżącą wieś Kraśnicze [9]). A przecież i córce swej Elżbiecie, musiała Granowska książęcy dać posag, kiedy wydała ją za Bolka księcia Opolskiego. W taki sposób musiał się olbrzymi majątek Ottona z Pilczy mocno nadwątlić w ręku obarczonej dziećmi Elżbiety Granowskiej. Sądzimy przeto, iż nie mogła ona nim zaimponować królowi Jagielle w ten sposób, ażeby aż obudziła jego chciwość. Zresztą cały jej majątek, musiał przecież po jej śmierci przypaść jej dzieciom, a nie, jak się domyślał Szajnocha, królowi Jagielle.

Chociaż więc nie twierdzimy, ażeby nasza Elżbieta nie miała wielkiego majątku, z tego co powiedzieliśmy, wypływa jasno, że nie mógł on być głównym motorem ożenienia się z nią Jagiełły. Bogactwa Elżbiety mogły być uważane podówczas za piękny jej przymiot, który ją podnosił w oczach spółczesności, a zatem i Jagiełły, jednak charakter Jagiełły zanadto dobrze jest znany z pięknych zalet, aby przypuścić można, że tylko dla zaspokojenia swej chciwości, pojął ją za żonę.

Król Jagiełło z matką Elżbiety, której był pochrześnikiem, miał liczne stosunki [10]), z mężem jej Granowskim prowadził, jak zauważyliśmy, liczne procesa, za jego zezwoleniem wtóry jej mąż posiadał bezpiecznie swą żonę i jej majątek; z tych danych możemy wnioskować, że król znał już oddawna Elżbietę, zanim postanowił ją wziąć za małżonkę. Dość awanturnicza jej przeszłość nie mogła do niej zrazić króla; poświadcza ten ważny rys w charakterze Jagiełły, że miał on w awanturnikach i awanturniczych losach ludzi szczególniejsze upodobanie [11]). Mógł przeto Jagiełło i wcześniej zwracać uwagę na Elżbietę, mógł nawet przed laty szczególniejsze czuć do niej affekty. Gdy w jesieni 1416 roku jechał na Litwę, a podczas jego tamże pobytu, starania jego o rękę dwu księżniczek, w dwu przeciwnych stronach, spełzły na niczem, widoczną jest rzeczą, że miał podówczas mocne postanowienie

[1]) ibidem. i zapiska z 10. maja 1404 r.
[2]) Liber beneficiorum. Dł. II. 186.
[3]) Liber benef. II. 188.
[4]) ibidem. pag. 209.
[5]) ibidem. pag. 209.
[6]) ibidem. pag. 217.
[7]) ibidem. pag. 218.
[8]) ibidem. pag. 409.
[9]) ibidem. pag. 570. Nadto „Przechody“ i „Granicze.“ obacz Liber benefic. III 327.
[10]) Obacz: Helcel. II. zapiska 809 i 877, nadto 909.
[11]) Obacz szkic mój historyczny pt. Polski Hussyta; w „Przewodniku naukowym i literackim“ na rok 1875, tom II.

*

ożenić się, a gdy z odkoszami wracał z Litwy i w styczniu 1417 r. przybył do Lubomli, mógł łatwo uledz namowom siostry swej, księżny Mazowieckiej Aleksandry, która wiedząc o jego zamiarach, raiła mu obecną tamże Elżbietę, wdowę po Granowskim na żonę.

Na ożenienie się przeto Jagiełły z Elżbietą wpływały okoliczności czasowe, a niedocieczonych przyczyn dla czego król przyjął projekt Aleksandry, należałoby szukać w również niedocieczonym charakterze naszego króla. Wiadoma bowiem rzecz, że w charakterze Jagiełły przedstawia się przed oczyma badaczy gra najrozliczniejszych a wielkich sprzeczności: łagodności, dzikiej i srogiej natury, pobożności i hołdowania przesądom, uległości duchowieństwu i częstej reakcji przeciwko niemu, rządności i rozrzutności. Umysł to raz głęboko roztrząsający rzeczy, to znowu dorywczo spełniający najważniejsze sprawy polityczne. W stosunku do żon swych — jak już powiedzieliśmy — przedstawia się nam charakter króla jako prawdziwie niezbadany. Wszakże znaną jest rzeczą, że Zofję, czwartą swą żonę, pojął wyraźnie „za doradą swych lekarzy," gdyż była młodą i zdrową, a król żądny był potomków męskich [1]). Otóż ten przeważnie powód mógł skłonić go do ożenienia się z Elżbietą. Niestety, tym razem król nie wziął lekarzy do narady, i zawiódł się w swoich nadziejach.

Odbiegliśmy atoli od rzeczy zastanawiając się czy hipotezy o przyczynach, jakie spowodowały króla do ożenienia się z Elżbietą, są prawdopodobne. Naprożno też zastanawialiśmy się sami, nad istotną tego przyczyną; nie dziwić się temu, bo nawet współczesnym była ona niewiadomą, gdyż domyślano się, jak powiada Długosz, iż *Elżbieta oczarowała króla* [2]). Dr. Caro domyśla się, iż Elżbieta mając zarody suchot, świeciła podówczas, jak to się dziać zwykło, melancholijnym a niezwykłym blaskiem swych oczu, i niemi *oczarowała Jagiełłę*. Być i to może; nam się atoli zdaje, że to oczarowanie właśnie oznacza, iż współczesność przyczyn, o których mowa, nie rozumiała, i właśnie z tego powodu bajała ówczesnym sposobem o oczarowaniu króla przez Elżbietę.

Zastanowiliśmy się nad opisem losów Elżbiety przed jej zamążpójściem za Jagiełłę i nad przyczynami, jakie mogły spowodować króla do ożenienia się z nią, i widzieliśmy, że Długosz jest w zgodzie z własnym swoim opisem i ze współczesnemi zapiskami. Przekonaliśmy się, że zarzuty dr. Caro przeciwko Długoszowi wymierzone, nie mają podstawy, że są dorywcze i błahe. Dostrzegliśmy już nawet, że szanowny profesor i idący za nim autor, popadają w fałsze, gmatwaniny i śmieszności, skoro z nieracjonalnych swoich zarzutów wysnuwają wnioski, skoro usiłują obraz Elżbiety rysować na podstawie własnej fantazji, a zupełnie przeciwnie, jak go Długosz nakreślił. Przychodzimy teraz do opisu Długosza o zamęźciu Elżbiety z Jagiełłą o dalszych jej losach i znowu mamy się zastanawiać, czy jest on wiarygodnym, i oile zarzuty dra Caro mają racjonalną podstawę. A chociaż w tej części nie sprzeciwia się Długoszowi dr. Caro tak jak w poprzedniej—i tylko czasem, jak się o tem przekonamy, wybucha niesłuszną przeciwko niemu złością, my jednak i tę część szczegółowo rozbierzemy. Uczynimy to nie tyle w celu stwierdzenia prawdomowności Długosza, ile by wyśledzić stanowisko z jakiego tenże zapatruje się na Elżbietę. Tą drogą idąc, przekonamy się, czy stanowisko jego jako historyka piszącego w duchu i po stronie kancelarji, jak to twierdzi wrocławski profesor, da się wyrozumować, czy jest faktem — a z drugiej strony, czy nasza Elżbieta może należeć do stronnictwa „teutonizujących" w Polsce. W końcu mamy z danego i przerobionego materjału wyśledzić objektywne stanowisko, z jakiego zapatrywać się należy na Elżbietę w naszej historji. (C. d. n.)

[1]) Opowiada rocznik Szamotulski (u Bielowskiego w Monumentach. Pol. II) ...Wladislaus rex forte ex informacione medicorum, quorum sana doctrina est, quod senex vir, ex iuvene femina, sobolem potest innumerabilem accipere..... quartam uxorem super inducens quandam Ruthenam, etc...

[2]) Dł. XI. 378,... cu (Elizabeth) mirum in modum rex... amore afficiebatur, quem plerique infascinacionem appelabant...

Piśmiennictwo polskie.

Poezje Adama Pajgerta, Lwów u Zawadzkiego 2 tomy; Kajus Gracchus, dramat w 5 aktach Karola Klossa. Lwów; Gubrynowicz i Schmidt. — Bohdan Jański „pierwszy pokutnik jawny i apostoł emigracji polskiej we Francji," szkic biograficzny, skreślił Edmund Callier. Poznań — E. Callier.

Tylko genjusze uzyskują od razu, i to nie zawsze, ogólne uznanie w literaturze. Nowością przedmiotu i formy, potęgą ducha olśniewają narody i ludzkość niby błyskawicą, tak że w tem świetle oko na razie żadnych plam dostrzedz nie może, głos ich jak grom brzmi potężnie i odbiera nawet nieprzyjaciołom chęć podniesienia krzyków niechęci. Inne koleje przebywać muszą talenta: jako słabsze od genjuszu objawy ducha ulegają więcej okolicznościom zewnętrznym i — losowi. Nie jeden utalentowany poeta długie lata po ogłoszeniu swych dzieł mało jest znanym i niesłusznie ocenionym, a często w grobie dopiero doczeka się należnego hołdu od narodu, podczas gdy imię innego, niższego od niego talentem, zaraz po wydrukowaniu kilku ulotnych wierszyków brzmi już w ustach całej publiczności. Los pierwszego dostał się w udziele śp. Adamowi Pajgertowi, którego dwa tomy poezyj świeżo wydanych mamy przed sobą. Krytyka nigdy dostatecznie nie podniosła jego utworów, a imię Pajgerta pomiędzy szerszą publicznością mniej jest znane, aniżeli niejednego z tandetnych wierszorobów. A przecież talent to niepospolity, pierwszorzędny, który śmiało postawić można w szeregu obok najlepszych naszych pieśniarzy. Talent jego jest przeważnie epicki i nosi na sobie cechy potężnej siły. Trzy większych rozmiarów poematy „Kadmea" (rzecz wzięta z historji Teb) „Berszada" i „Pokutnik" świadczą o tem wymownie. Forma w nich jędrna, zwięzła, zbliżająca się do klasycznej, obrazy żywe, spokój w opowiadaniu i wysoki nastrój duchowy, oto zalety, które czynią te utwory prawdziwą ozdobą naszej epickiej literatury. W „Kadmei" postaci bohaterskie Pelopidasa i Epaminondasa wyrzeźbione są z starogrecką sumiennością. W mniejszych epickich utworach, do których brał poeta treść z dziejów polskich i greckich te same znachodzimy zalety. Fakta dziejowe nie są pzzedstawione z suchą skrupulatnością, ale we wszystkie umie poeta wlać myśl i czucie. Patrjotyczne silne uczucie góruje we wszystkich: z historji greckiej i obcej wybrał poeta same takie tematy, które przedstawiają analogję z losem naszej ojczyzny i chwilą obecną. Opiewani przez niego bohaterowie zachęcają swemi czyny i słowy do pracy około wyzwolenia ojczyzny, uciemiężonej wolności i prawdy. Ojczyzna, ludzkość, wolność, braterstwo: oto potężne ideały, których przedstawicielami są bohaterowie Pajgerta. Umieszczony w tym oddziale „Ostatni monolog Hannibala" pełen jest dramatycznej siły. Monolog ten byłby ozdobą genjalnego nawet dramatu. Drugi oddział pierwszego tomu zawiera poezje liryczne o wiele słabsze od epickich. Dusza Pajgerta zaparła się siebie dla miłości ludzkościowych ideałów, to też nie dziw, że liryka, polegająca na wywnętrzaniu własnych uczuć, nie była dla niego rodzajem poezji, w którymby mógł królować. Nie chcemy przez to powiedzieć, ażeby poezje jego liryczne były bezwzględnie słabe, i owszem niektóre z nich, szczególnie te, w których szerszy zakreślił sobie obszar lotu, są wcale piękne. Ostatni oddział tomu pierwszego zawiera w sobie zbiór okolicznościowych, polityczno-tendencyjnych utworów pt. „Żelazne struny." Są one najcelniejszym objawem jego poetycznej działalności. Autor nie dał przesadnego tytułu temu zbiorkowi: rymy jego brzmią dzielnie i potężnie, jakby stary jaki grecki rapsodysta po żelaznych strunach lutni uderzał. W nich okazuje nam się autor w całej pełni nie tylko, jako poeta, ale zarazem jako człowiek. Pajgert to prawy syn ojczyzny, miłujący Polskę nadewszystko i pragnący jej odbudowania nie za pomocą jakichś mistycznych sentymentów, ale krwią i pracą rodziców, to prawdziwy republikanin, demokrata, nienawidzący na śmierć tyranów ciała i ducha, i zachęcający wszystkich pognębionych do zrzucenia z siebie jarzma. Światło, praca, sprawiedliwość polityczna i społeczna, o to zasady, które Polskę i ludzkość zbawić mogą i muszą. Trzeźwym tym i poczciwym poglądom na świat towarzyszy w „Żelaznych strunach" równie trzeźwa i prosta forma. Pod tym względem wyróżnia się Pajgert bardzo z pomiędzy naszych poetów, z których prawie wszyscy rozchorowali się na apokaliptyczność myśli i formy, jakby zapomnieli, że naga prawda, jest zarazem i piękną, a więc w poezji powinna być uwidocznioną. Ażeby dać poznać czytelnikom sposób pisania i tendencję Pajgerta, przytaczamy ustęp z umieszczonego na końcu „Żelaznych strun" wiersza do Kornela Ujejskiego pt. „Moje Credo." Wiersz ten pisał autor do najlepszego swego przyjaciela i „mistrza", jak go niejednokrotnie nazywa, na kilka dni przed śmiercią.

— — — — — — — — — —

Na ateistów my za rozumni,
Wiemy co trzeba,
Na pochodzenie z błota za dumni
Ród wiedziem z nieba.

My za pobożni na faryzejów
Ultramontaństwo...
Jest Bóg wszechświatów — jest Bóg wszechdziejów,
Reszta pogaństwo!

Siłe przed prawem by dać pokłony,
Nie nasze karki;
Bez cześci u nas Napoleony,
Bez czci Bismarki.

Na demagogów myśmy za czyści
Całem jestestwem,
Nam demokracja cnotą się iści,
A nie łupiestwem.

— — — — — — — — — —

Niech iglicówki gotują ludom
Znów niewolnictwo;

Ku wszechwolności my dążym cudom
W światła dziedzictwo!
— — — — — — — — —

I krzyk podniesiem przeciw im krzykom
Na ziem krawędzie —
Wbrew wszystkim tronom, wbrew republikom,
Że Polska będzie!

Z tem hasłem legniem ducha rycerze!
Z nim wskrześniem z grobu;
Choćby przy dawnej nie wytrwał wierze,
Nikt prócz nas obu!

Drugi tom „Poezyj“ Pajgerta zawiera same tłumaczenia, z angielskiego, włoskiego, francuskiego i niemieckiego. Pajgert jest znakomitym tłumaczem; języki z których przekładał znał wybornie, a ojczystym jak widzieliśmy w jego oryginalnych poezjach, włada potężnie. Tłumaczenia jego mogą śmiało być postawione obok Odyńcowych. Tom tłumaczeń, o którym mówimy ,jest niejako antologją obcych poetów. Najwięcej tłumaczył z angielskiego i niemieckiego. Tennyson, Byron, Longfellow, Tomasz Moor i Szekspir to jego najulubieńsi poeci. Oprócz mnóstwa pomniejszych wierszy pomieścili wydawcy w tomie drugim następujące tłumaczenia większych poematów: „Ginewra“ Alfreda Tennysona, „Wyspa, czyli Chrystjan i jego towarzysze“ lorda Byrona, „Ślepa dziewczyna z Castle-Cuillé“ Jasmina i „Raj i Peri“ Tomasza Moora.

Wydanie to dzieł Pajgerta dokonane staraniem rodziny nie jest kompletnem. Oprócz bowiem ślicznych „Pieśni proroków“ zbliżonych do „Skarg Jeremjego“ Ujejskiego, i arcydzielnego tłumaczenia „Juljusza Cezara,“ najlepszego w naszym języku, jakoteż przekładu poematu Byrona „Kain“ które to prace są drukiem ogłoszone, pozostały po ś. p. Pajgercie w rękopisie tłumaczenia tragedji Szekspira „Henryk IV,“ poematu Musseta „Usta i czara“ i rozprawy estetyczne prozą. Żadna z tych prac nie jest pomieszczoną w obecnem wydaniu. Wydawcy tłumaczą się z tego w przedmowie oświadczając, że okoliczności na to nie pozwalały. Prawdopodobnie brak funduszów był tą okolicznością. Spodziewamy się jednak, że ta okoliczność rychło usuniętą zostanie, i że nie długo ujrzymy dodatkowy tom zawierający nie zamieszczone w obecnem wydaniu utwory. Tymczasem w imieniu ludzi ceniących talent i literaturę narodową wyrazić musimy szan. wydawcom uznanie, za ogłoszenie zbiorowe tych cennych prac nieodżałowanej pamięci poety.

(C. d. n.)

POGADANKI.

XXII.

Uroczysta cisza, panująca od pewnego czasu w naszem mieście, we wszystkich gałęziach publicznego, literackiego i artystycznego życia, zaczęła powoli stawać się uroczyście-nudną. Już to należy do naszych specjalności, że albo wszyscy przemawiają, krzątają się i produkują się razem, albo wszyscy razem siedzą tak cicho, jak gdyby przypadkiem najmłodsza i najukochańsza jaka dziecina usnęła i bano się ją przebudzić. Mężowie o wysokich cholewach i wzniosłych aspiracjach patrjotycznych krążą na palcach, zdala od właściwej swojej widowni działania, trybuny. Literaci, piszą jedni o drugich, tytułują się „szanownymi kolegami,“ lub „zasłużonymi autorami tego i owego dzieła“ — podczas gdy artyści jedynie ponurem wejrzeniem zdradzają plany knowane w celu zaćmienia lub zagłuszenia tego... tego... bazgracza, krzykacza, lub pobrzękiwacza, który jako brat w Apolinie szczególnie niemiłym jest ich sercu. Zważywszy wszelako, że dziecina, która spi, nie jest dzieciną, ale dobrze już wyrośniętym drągalem i niepoprawnym leniuchem, trudno pochwalać te powszechne względy dla jej drzymki i wita się z zadowoleniem każdy szmer przerywający jednostajność milczenia.

Takich szmerów możemy dziś zaznaczyć kilka. Najpierw, odbyć się ma jutro zgromadzenie przedwyborcze, z powodu, że ma wkrótce nastąpić wybór 20 radnych miasta, brakujących do kompletu. Wiadomość ta jest dla nas prawdziwą niespodzianką, mniemaliśmy bowiem, że do kompletu niedostaje nam przynajmniej wszystkich 100 ojców stolicy, a nie piątej ich części tylko. Przypuszczenie to nasuwało się samo przez się ze względu na zupełny brak objawów istnienia jakiegokolwiek ciała, myślącego chociażby tylko o najpierwszych potrzebach miasta. Odkrycie, że mamy jeszcze 80 mężów, których praca około dobra publicznego dotychczas nie złamała na ciele i na duchu, powinno napełnić otuchą serce każdego dobrego Lwowianina. Oprócz tego, niechaj nam bodaj do dnia ogłoszenia rezultatu nowych wyborów wolno będzie cieszyć się nadzieją, że będzie to rezultat pomyślny, i że wprowadzi on w skład reprezentacji municypalnej nowe i pożądane oddawna żywioły.

Zkąd mają wziąć się te żywioły? Na to odpowiada nam rocznik p. Tadeusza Romanowicza, że w r. 1874, a więc już w czasie obecnego trzechlecia, przyjechało do Lwowa kolejami żelaznemi osób 273.571, wyjechało zaś tylko osób 238.661, to znaczy, że 34.910 osób przyjechawszy do Lwowa wagonem, nie wyjechało więcej. Jeżelibyśmy przypuścili, że są to osoby podwójnie lub potrójnie wzięte, tj. takie, które w ciągu roku dwa lub trzy razy przyjeżdżały, to musimy przypuścić także, że te same osoby dwa lub trzy razy wyjeżdżały ze Lwowa, zawsze więc różnica zostanie ta sama. Przypuściwszy więc jeszcze, że Hołosko, Zniesienie, Kleparów i Kulparków, jako też dalsze okolice miasta zabsorbowały $^4/_5$ części tej nadwyżki, otrzymamy zawsze za jeden rok 1874 przeszło 7.000 przybytku nowej zupełnie ludności, a ponieważ w r. 1875 stosunki przyjazdu i wyjazdu nie zmieniły się wcale, i ponieważ rok 1876 upłynął już w jednej trzeciej części, więc napłynęło w całym tym czasie do Lwowa najmniej 17.000 nowych mieszkańców. Cyfra to poważna, wystarczająca do zaludnienia Stanisławowa, Przemyśla, albo Tarnopola, a tem samem, zdolna dawniejszą sumę zbiorową naszego rozumu obywatelskiego podwyższyć o sumę np. stanisławowską. Nikt mię też nie posądzi o przesadne wymagania, jeżeli postawię dalszą hipotezę, że pomiędzy tymi 17.000 przybyło do nas i osiadło między nami 17 rozumnych ludzi, przejętych duchem obywatelskim, i że pomiędzy dawniejszą ludnością, przy pomocy latarni Diogenesa, możnaby znaleść takich samych 3 mężów, dla skompletowania liczby dwudziestu (nie licząc „mnie, Smolkiego i Rajskiemu,“ jak mówi przysłowie.)

Nadzieja, o której mówiłem powyżej, nie opiera się przeto na sangwinicznem widzeniu rzeczy, ale na gruntownej rachubie matematycznej. Szczególnie ponętną wydaje mi się cyfra nowych przybyszów. Kto przybywa do stolicy i osiada w niej, nie czyni tego bez kozery. Wie on, że od stolicy wymagać można nie jednej rzeczy, której mniejsze miasto uczynić nie może. Można wymagać nie tylko porządku, który i w Bóbrce panować powinien, ale także działalność na szerszą, większą skalę, zbiorowej działalności obywatelskiej w duchu wyższej myśli narodowej. Działalności tej Lwów nie rozwija. Wszelkie np. prośby i zaklęcia, ażeby gmina zrobiła coś dla teatru, dla sztuki malarskiej i rzeźbiarskiej, padają jak groch na ścianę. Nie większą jest dbałość o dobrobyt materjalny, o rozwój przemysłu i handlu. Sprawa np. magazynów zbożowych, przez wszystkich za piekącą uznana, nie może doczekać się tego, ażeby się nią gmina zainteresowała. Wybierajmy więc takich 20 nowych radnych, z których każdy potrafiłby wpływem i przykładem swoim zelektryzować czterech kolegów i nakłonić ich do odpowiedniejszego pełnienia obowiązków reprezentanta największego miasta w kraju, a najbogatszego w całej Polsce.

* * *

Jednocześnie z tem ożywieniem się życia publicznego przez agitację przedwyborczą, dała i literatura parę znaków życia, o których pomówimy gdzieindziej, rozpoczęła się nareszcie wystawa Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych w Narodnym Domu, i teatr też ze swojej strony „szarpnął się“ rozpaczliwie niejako, ażeby zażegnać widmo zbliżającej się „martwej pory roku“. Szarpnięciem się tem było nadzwyczaj kosztowne i staranne pod względem dekoracyj, kostiumów i innych dodatków przedstawienie „Orfeusza w Piekle,“ zmienionego przez kompozytora i librecistów, i rozszerzonego — do północy. Oddając wszakże słuszność dyrekcji w jednym kierunku, należy także po słuszności wytknąć, że dawniej „Orfeusz“ lepiej wypełniał swoje zadanie, bo był zabawniejszym. Świetne dekoracje, udatny wcale balet itp. olśniewają wprawdzie nas mało-mieszczan, a pomiędzy nowo dodanemi scenami, sąd piekielnych biurokratów wywołuje efekt prawdziwie komiczny, ale dawniej śmieliśmy się przecież częściej i serdeczniej z charakterystycznych figur i wtrąconych tu i owdzie konceptów lokalnych, a przynajmniej, współczesnych. Dziś przepych wystawy odjął podobnoś humor aktorom, i z wyjątkiem Styksa i Jowisza wszystkie główniejsze role grane były bez tej wesołej swobody, jakiej wymaga sztuka podobna, ażeby była strawną. Z taką „Offenbachiadą“ nie potrzeba przecież obchodzić się, jak z relikwią — można ją zastosować do czasu i miejsca, wszak to nie „Ernani“, ani „Faust“ lub „Prorok“. Co się zaś tyczy Eurydyki, nadmienię tu jeszcze, że jeden z muzyków naszych, wielce respektujący opinię publiczną, oświadczył kategorycznie, iż nawet sprzymierzone, a znane przecież z energji, nawoływania *Gazety Narodowej* i *Dziennika Polskiego* nie byłyby w stanie nakłonić go do szukania jej w piekle, chyba by ogłuchł poprzednio. Może to sąd zbyt ostry — na szczęście moje, nie jestem muzykalnym i nie potrzebuję brać za niego odpowiedzialności na siebie.

* * *

Zelektryzowanym jest także świat sportsmenów i „przysportników,“ jeżeli się tak godzi nazwać pewną liczbę dżentelmenów o nader *turfowej* powierzchowności, nie posiadających koni i nigdy nie widywanych w siodle, ale tem pilniej *kibicujących* przy każdym akcie tego szlachetnego kunsztu. Jak grom spadły w to kółko dwie wia-

domości: matka *Przedświta* wysoko urodzona lady *Jewel*, a za nią i sam *Przedświt* przeszły w obce ręce! Żegnaj-że nam galicyjski brzasku zaranny, a kiedyś się sprusaczył, to przyjm odemnie życzenie, ażeby cię konie p. Ochockiego zdystansowały przy najbliższej sposobności! Żegnaj nam i ty, „klejnocie" angielski, i rodź na przyszłość same tylko fiakierskie szkapy! Zostaje nam po was ta jedna tylko pociecha, że stosownie do obyczajów *jockey-clubu*, nadobna kwiaciarka Lila sprzedawała tego roku w Freudenau bukiety, ubrana w kolory herbu Leliwa. Żegnajcie nam wszyscy, et sit vobis Enwistle levis!

Jan Lam.

Piśmiennictwo zagraniczne.

Pamiętniki i korespondencje Karoliny Herschel, wydane przez panią John Herschel — 1876. Londyn — Murray.

Wielcy ludzie i wielkie wypadki mają zawsze pomocników ukrytych gdzieś w cieniu, o których świat nic prawie nie wie. Takiemi pomocnikami bywają nieraz kobiety, które sobie wzięły za zadanie pobudzać do pracy i dodawać siły tym, którzy są powołani być wodzami i pracownikami, umacniając ich w wierze w przyszłość, w dniach ciemności kiedy świat cały zdaje się ich opuszczać. Do takich osób szlachetnych — powiada biograf w tomie pamiętników, które niedawno się ukazały — Karolina Lukrecja Herschel należy bezwątpienia; i rzeczywiście pamiętniki i korespondencje jej pokazują co zrobić może kobieta, której siłę podtrzymuje sympatja. Nie ulega wątpliwości, że Karolinie zawdzięcza świat olbrzymie odkrycia Williama Herschla, gdyż ten ostatni nie umocniony w swych przedsięwzięciach, nie pobudzany przez tę kobietę, byłby pozostał skromnym nauczycielem muzyki, ba, możeby przeszedł nawet do potomności, jako twórca kilku symfonij, lecz nie jako potężny odkrywca Urana; Karolina po skończeniu karjery scenicznej (była śpiewaczką) zatonęłaby w niepamięci, a Sir John Herschel poszedłby zapewne po skromnej drodze ojca. Trzeba sobie umieć wystawić niezmierne, nieoszacowane znaczenie tych trzech ludzi w rozwoju nauk przyrodniczych, szczególniej największej z nich astronomji, żeby ocenić straty, które ludzkość ponieść by mogła, gdyby te trzy życia przeszły jak tyle innych, nie zauważane i nie znane....

Życie Miss Herschel było tak powiązane ściśle, w przeciągu całego prawie pół-stulecia z życiem wielkiego brata, że czytając jej opowiadania o własnych odkryciach, zdaje się nam, że nie o swojej pracy mówi, brat ciągle na scenę wychodzi; powiada wszędzie, że jeżeli co zrobiła to zawdzięcza instrumentowi, który brat postawił dla „roztwierania niebios." W 22 roku życia swego, a 1772 opuściła Karolina Hannower, swą rodzinną ziemię i pojechała do brata w Anglji, którego znalazła zajętego od rana do wieczora lekcjami muzyki. Zaledwie miał chwilkę na dzień do poświęcenia swojej ulubionej nauce astronomji, zupełnie pochłaniającej wszystkie jego dążności. Niewystarczające środki mechaniczne podbudzały jego umysł wynalazczy, i powstała w głowie jego myśl zbudowania teleskopu dwadzieścia stóp długiego. „Przeszkadzało mi to ciągle w ćwiczeniach muzycznych — powiada miss Herschel — bo ciągle mię potrzebowano i zadaniem mojem było robić pudełko tekturowe do szkieł, które nadejść miały." Tym „pudełkiem" był pierwszy, nieociosany model, wielkiego i sławnego teleskopu, który jej brat zbudował i który mu zyskał taką sławę. Na szczęście udało się Herschlowi dostać od pewnego kwakra, który się astronomią zajmował, potrzebne instrumenty. „Odtąd — powiada Karolina — zamieniły się wszystkie pokoje na warstaty."

W owych czasach źwierciadła wklęsłe do teleskopów wykonywały się ręczną pracą. Żadnych dokładnych przyrządów, jak teraz, nie było. Model wypukły mający dokładną formę źwierciadła pokrywał się szmerglem i wodą, i służył do wywiercenia mniej więcej dokładnego otworu; od ręki, za pomocą tlenka ołowiu doprowadzano szkło do połysku. Zrobienie, choćby tylko sześciocalowego źwierciadła było nie małą pracą; a trochę pojęcia o trudnościach, które miał Herschel w zrobieniu siedmiostopowego źwierciadła da nam fakt zapisany przez Karolinę, że William Herschel szlifował raz źwierciadło przez szesnaście godzin nie odejmując ręki i że musiała mu do ust podawać jedzenie.

W tym czasie imię Herschla zaczynało stawać się sławnem, głównie wskutek renomy jako wynalazcy teleskopów o niesłychanem powiększeniu. W roku 1781 przyczyniło się jeszcze więcej do tego odkrycie Urana, a w kilka miesięcy potem zrobienie go członkiem królewskiego towarzystwa nauk. Król Jeny III, którego armja właśnie wracała pobita z Ameryki, pocieszał się zmartwiony stratą kolonji, oglądaniem planety ochrzczonej od jego imienia „Georgium Sidus," którą mu pokazywał Herschel przywołany do dworu w tym celu. Naszemu astronomowi nie podobało się to wcale i pisał naiwnie, że: „to nie jest wcale zabawnem i wolałby nawet polerować w domu źwierciadła;" lecz w każdym razie wolał to przyjąć, niż być przez całe życie nauczycielem muzyki. „Żaden monarcha nie kupił tak tanio sławy" — powiedział złośliwie Sir William Watson, kiedy mu wyznaczono małą pensję wynoszącą około 2.000 złr.

„Przeznaczono mię — pisze Miss Herschel — na asystenta astronoma i dla zachęty dano mi teleskop. Miałam za zadanie szukać komet i opisywać wszystkie formy i zmiany jakie widziałam " Obok niej, brat robił swe niezrównane obserwacje nad nową planetą, nad mgławicami i podwójnemi gwiazdami, a zadaniem Karoliny było szukanie mgławic, „bieganie do chronometru, zapisywanie uwag brata, czyszczenie instrumentów i t. p." zaprawdę dosyć pracy na jednego człowieka i bez dodatku „itp." Często zostawała podczas zimnej nocy przy boku brata i zapisywała jego obserwacje mimo to, że atrament marzł w kałamarzu; na drugi ranek robiła kopje na czysto z całonócnej prawie pracy. W chwilach kiedy brat nie potrzebował jej pomocy, odkryła pięć nowych komet i odszukała trzy zagubione. W latach 1783—4—5 napisała dokładny katalog tysiąca gwiazd stałych; w pięć lat potem dodała nowych tysiąc i oznaczyła położenie na niebie pięciuset innych między rokiem 1788 a 1802. Jednocześnie studjowała matematykę, której brat jej uczył przy jedzeniu, dając trudniejsze zapytania, do których się Karolina starannie przygotowywała. Nie długo potem była w stanie pomagać bratu w matematycznych obliczeniach, szczególniej podczas budowy sławnego czterdziestostopowego teleskopu, kiedy Herschel nie miał chwili wolnej. W listach Karoliny znajdujemy wiele ciekawych anegdotek o tym teleskopie; np. kiedy już był zbudowany, kilka osób z Williamem na czele weszło do rury teleskopowej i śpiewało „God save the king." Później wszedł król, a za nim arcybiskup Canterbury (Kenterberi). Prałat był wielkiej tuszy i przejście nie było dlań zupełnie wygodnem, więc król podał mu rękę mówiąc: „Chodź, panie biskupie, wskażę panu drogę do nieba!"

W roku 1822 umarł Sir William. Siostra zmartwiona wróciła do Hanoweru; lecz nie porzuciła tam swej pracy i przeszło siedmdziesięcioletnia staruszka zaczęła opisywać 2500 mgławic, które badał jej brat nieboszczyk. Było to wzruszającym dowodem przywiązania do brata. W 1828 r. skończyła i to zadanie. Ostatnich dwadzieścia lat życia przepędziła w Hanowerze przysłuchując się ze swego zacisza wzrastającej sławie siostrzeńca Johna Herschla, któremu pomagała bez przerwy dojrzałym sądem, i którego odkrycia i olbrzymie wysiłki witała z równym jak on sam entuzjazmem.

W styczniu 1848 roku zgasło to długie i pożyteczne dla ludzkości życie.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Sprawozdanie roczne zakładu rękodzielniczego dla kobiet z działalności w ciągu 1875 roku. Rok drugi. Warszawa 1876.

Najwięcej dla zachęty lwowskiego Stowarzyszenia Pracy kobiet podajemy tu wiadomość o tem sprawozdaniu. Z niego dowiadujemy się o pożytecznym rozwoju tego zakładu i wpływie na dalsze okolice kraju. Wychodzące zeń uczennice otworzyły pracownie rękawiczek w Radomiu, introligatorskie w Częstochowie, Radomiu, Kaliszu, oraz obuwia damskiego i kwiatów sztucznych. Prócz tego otworzone zostały przez uczennice tegoż zakładu pracownie sukien damskich w Smoleńsku, Mińsku, Saratowie, Białej Cerkwi, Kowlu i Dubnie.

— Stan i sprawa żydów polskich w XVIII wieku przez Władysława Smoleńskiego. Warszawa 1876.

Aby dać poznać kierunek, w jakim ta rozprawka napisana, dość przytoczyć godło, które autor wyjął z pism A. F. Modrzewskiego: „Gdy jeden członek ciała trapienie jakie cierpi, drugim miły żywot nie może być." Rozprawa ta, choć krótka, obejmuje bowiem tylko stron 95, stanowi ważny przyczynek, a pełen erudycji, do historji żydów polskich.

Nowości

podawane przez księgarnię

SEYFARTA I CZAJKOWSKIEGO.

we Lwowie.

Ostrowski Krystyn. — Dzieła polskie. (Dramata i komedje. — Ulotne jamby. — Nowe fraszki. — Dodatek.) Wydanie zupełne, w 8ce dużej. str. 398. Paryż 1876. Zł. 3 60

Panteon Wiedzy ludzkiej. — Oddział pierwszy. Nauki matematyczne. I Arytmetyka. II Algebra przez Dr. M. Baranieckiego. III Geometrja elementarna. IV Trygonometrja. V Geometrja wykreślna. VI Geometrja analityczna przez Mikołaja Jaxę Bykowskiego. VII Rachnek różniczkowy i całkowy przez Władysława Gosiewskiego, w 8ce dużej. str. 332. Warszawa 1876. Zł. 3·40.

Pisma Zbigniewa. (Marji Sadowskiej). — Tom I zawiera: Podróż na około świata. — Stara panna. — Cztery ideały. — Historja kamienia przy drodze. — str. 182. Warszawa 1875. Całe dzieło wyjdzie w trzech tomach. Tom po Zł. 1 25.

Schiller Fryderyk. — Wallenstein. Poemat dramatyczny, w 8ce. str. 313. Warszawa 1875. Zł. 2.

Struve Henryk. — Synteza dwóch światów. Szkic filozoficzny. Z dodaniem dwóch urywków: 1 Poezja,

Religja i Filozofja. — 2 Przeszłość, Przyszłość i Teraźniejszość. w 8ce. str. 154. Warszawa 1876. Zł. 1·50.

Tyszyński Aleksander. — Wizerunki polskie. Zbiór szkiców literackich. w 8ce. str. 302. Warszawa 1875. Zł. 2.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

— Nakładem księgarni F. H. Richtera zaczęło wychodzić obszerniejsze dzieło pn. „Choroby Galicji". Zeszyt I jest poświęcony ultramontanizmowi; II lichwie i sprawie żydowskiej; w dalszych zaś będą poruszone takie sprawy: jak lichwa uprzywilejowana (banki włościańskie) sprawa świętojurska, polityka galicyjska, loterja itd. Zeszytów wyjdzie razem 5. Cena zeszytu 50 ct. Otrzymać można w każdej księgarni a od nakładcy za zaliczką pocztową.

— Doroczna wystawa lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych została już otwarta w Domu Narodnym. Wkrótce podamy obszerne sprawozdanie.

— W ubiegłym tygodniu widzieliśmy na naszej scenie dawno niegrany dramat Oktawjusza Feuillet pt. „Dwa światy" i „Nowego Orfeusza w Piekle" operetkę Offenbacha, wystawianą z wielkim jak na Lwów przepychem. Wdzięczni jesteśmy dyrekcji, że tak bliskiem zestawieniem obu tych utworów, mimo woli potwierdziła to wszystko, cośmy o jej repertoarzu napisali. „Dwa światy" są u nas znane, ale że tendencja jest uczciwą w tym dramacie, więc mimo iż przedstawienie z powodu późnego rozpoczęcia i długich międzyaktów trwało do pół do pierwszej po północy, publiczność z przyjemnością go wysłuchała, i przed ukończeniem teatru nikt nie wyszedł. „Orfeusz" był nowością, robiono mu reklamę, nie szczędzono kosztów na wystawę, a mimo to już po trzecim akcie widzowie zaczęli się tłumnie wynosić, a na drugiem przedstawieniu mało było osób. Niech się teraz dyrekcja teatru przekona jaki jest gust publiczności. Nie wykluczamy operetek, w jednej z naszych pogadanek samiśmy powiedzieli, że znękane dzisiejsze społeczeństwo stara się farsami myśl rozerwać, ale za tem jeszcze nie idzie, by po za operetką nie widziało już sztuki. Potrzeba tylko roztropnie jej gustem kierować.

— Komisja konkursowa przy Dyrekcji rządowej Teatrów Warszawskich, na ostatniem posiedzeniu odbytem w dniu 23 maja rb. zajmowała się przysądzeniem dwóch premjów wyznaczonych w dniu 5 kwietnia 1876 roku dla dwóch najlepszych utworów dramatycznych. Z czternastu sztuk wyznaczonych do głośnego czytania w obec wszystkich członków komisji, cztery ostatecznie współubiegały się o nagrody, a mianowicie tragedja w pięciu aktach „Świętosław Igorowicz", komedja w czterech aktach „Pojedynek szlachetnych", sztuka w pięciu aktach „Dworacy niedoli" i komedja w jednym akcie „Fałszywe blaski". Komisja nie przyznała żadnemu z tych czterech utworów pierwszej nagrody dla powodów, które wyłuszczone będą w obszernem motywowanem sprawozdaniu, drugą nagrodę otrzymała komedja „Pojedynek szlachetnych". „Świętosław Igorowicz", „Dworacy Niedoli" i „Fałszywe blaski" zalecone zostały do grania, a również jak komedja w trzech aktach p. t. „Blaga". Po otwarciu kopert z nazwiskami okazało się, że autorem sztuki „Pojedynek szlachetnych", która otrzymała drugą nagrodę jest pseudonim *Sewer* autorem „Świętosława Igorowicza" *Paulin Stachurski*, „Dworaków Niedoli" *Zygmunt Sarnecki*, „Fałszywych blasków" *Zofja Mellerowa*, „Blagi" *Jan Jordan*, autor „Wędrówek delegata".

— Dnia 1go maja rb. rozpoczęła się w Londynie w South - Kensington wystawa aparatów naukowych. W kilku galerjach ustawiono aparaty nowoczesne, które naukę naprzód popychają. Dla profanów są atoli nierównie ciekawsze aparaty dawniejsze, mające wartość historyczną. I tak znajduje się tam między innemi oryginalna mapa Kolumba, na podstawie której sławny podróżnik usiłował przekonać Ferdynanda i Izabellę o prawdziwości swoich przypuszczeń; dalej teleskop Galilea, prisma Isaaka Newtona, półkule Ottona Guericke, które w Regensburgu, w przytomności reichstagu, ku zdumieniu cesarza nie mogły być rozerwane przez cztery konie i wiele innych aparatów Levoisier'a i Priestley'a. Komisja, mająca ocenić zgromadzone aparaty, odbywa do 1go czerwca codzienne posiedzenia.

— Na posiedzeniu Akademji umiejętności w Rzymie, profesor Momsen oświadczył, że przy pomocy archeologów i rządu włoskiego, chce wydać poprawiony i dokładny opis starożytnego Rzymu pod względem topograficznym.

— Dnia 1go maja została otwarta w Paryżu doroczna wystawa dzieł sztuki. W tym roku jest ona bogatszą jak w ubiegłym. W ogóle wystawiono dotąd 4.033 numerów, z których 2.095 przypada na malarstwo, a 622 na rzeźbę. Polaków znajduje się kilkunastu między wystawcami. Szanowny nasz kronikarz paryski nie omieszka nas zapoznać z celniejszemi dziełami sztuki.

— W Pradze przedstawiają operę „Wandę" osnutą na tle podania z dziejów polskich.

Jubileusz.

— Jeden z najstarszych i powszechnie szanowanych lekarzy lwowskich p. Feliks Erazm Jan Nepomucen Maciejowski obchodzi 3go czerwca rzadki pięćdziesięcioletni jubileusz w zawodzie doktorskim. Szanowny jubilat urodził się w Sanockiem w 1799 r. chodził do szkół w Przemyślu, na filozofję we Lwowie, a w Wiedniu na medycynę, gdzie w r. 1826 3go czerwca otrzymał dyplom na dr. med. Po ukończeniu studjów, udał się za granicę dla dalszego kształcenia się naukowego, na hasło atoli walki z najezdnikami w r. 1831 pospieszył z powrotem do kraju, by ofiarować na ołtarzu ojczyzny swoje usługi. Rząd Narodowy oceniając jego gorliwość patrjotyczną, oraz wysokie uzdolnienie naukowe, mianował go naczelnym lekarzem szpitalu wojskowego w Warszawie i za zasługi tam położone udekorował orderem Virtuti militari. Po upadku powstania w r. 1832 powrócił do Galicji i osiadłszy we Lwowie przez lat 44 bez przerwy nie opuszczał naszego miasta, poświęcając się praktyce lekarskiej. Zajmując się prywatnie, nie zapominał też o obowiązkach obywatelskich, i należał do pierwszych założycieli użytecznego ze wszech miar Tow. lekarzy galicyjskich. Głęboko wykształcony teoretycznie próbował sił w zawodzie pisarskim i ogłosił drukiem broszurę „O cholerze," która w swoim czasie była rozgłośną. Jako obywatel miasta Lwowa, służył mu wzorowo jako radny miasta od r. 1848 do r. 1872. W ciągu długiego swego zawodu lekarskiego i obywatelskiego dr. Feliks Maciejowski odznaczał się zawsze bezinteresownością i w wysokim stopniu poświęceniem się dla dobra spółobywateli rodaków, których ukochał z najszlachetniejszych pobudek serca. Obowiązkiem więc naszym odwzajemnić się sz. jubilatowi i uczcić godnie uroczystość jubileuszową, która niech mu starczy za wszelkie urzędowe nagrody i doda sił do wytrwania na swem stanowisku. Daj Boże w najdłuższe lata!

Stowarzyszenie.

— „Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Politechników polskich w Monachium za półrocze $187^5/_6$. Z początkiem zimowego półrocza $187^5/_6$ roku Towarzystwo liczyło członków zwyczajnych 19 i honorowych 13. W ciągu półrocza wystąpiło członków zwyczajnych 4 a natomiast wstąpił 1; ukończył politechnikę 1. — Z końcem więc zimowego półrocza Towarzystwo składało się z 15 członków zwyczajnych, a mianowicie z wydziału inżynierskiego 5, chemicznego 7, mechanicznego 2, architektonicznego 1, i z 14 honorowych. Wydział chemiczny jest najsilniej reprezentowany, co należy przypisać jużto zwrotowi młodzieży ku kierunkowi chemicznemu, jako obecnie więcej rentującemu się; jużto z powodu trudności, napotykanych przy mnogich rysunkach, nieodzownych na innych trzech wydziałach. — Działalność Towarzystwa da się streścić w ten sposób: Odczytów było dwa, oba z dziedziny nauk przyrodzonych. Repetytozij publicznych nie było zupełnie— ponieważ nikt nie objawił chęci zapisywania się na takowe; za to prywatne repetytozja miały miejsce bardzo często przeważnie z inżynierji i chemji. Towarzystwo czując potrzebę posiadania własnej praski litograficznej, użyło wszelkich możebnych starań aby nabyć takową — i oto w ubiegłem półroczu częścią z kasy, częścią z dobrowolnych składek praska została zakupioną. — Również Towarzystwo nabyło polarny planimeter Amster'a, jako nieodzowny w obliczaniu powierzchni wykopów i nasypów przy budowie dróg i kolei żelaznych. — Bibljoteka Towarzystwa (dzięki umiejętnemu kierownictwu bibljotekarza) wzrosła od ostatniego półrocza w stosunku niemal geometrycznym, albowiem liczyła na początku ubiegłego półrocza ogółem tomów 191, z których tomów 81 składały dzieła czysto specjalne treści technicznej, pozostające zaś 110 tomów należały do dzieł treści najrozmaitszej; w końcu zaś półrocza bibljoteka posiada ogółem tomów 248, z których 113 tomów dzieł specjalnych technicznych i 135 tomów treści innej. A zatem przybyło dzieł treści technicznej tomów 32 treści zaś innej tom. 25. Dzieła tylko techniczne nabywa Towarzystwo, innej zaś treści dzieła wpływają do bibljoteki drogą darowizn ze strony członków lub osób prywatnych. Czytelnia Tow. mieszcząca się dotąd w lokalu bibljotekarza, posiada obecnie czasopism różnej treści 10, przeważnie bez opłaty ceny prenumeracyjnej, co zawdzięczyć mamy bezinteresowności Szanownych Redakcji, i obowiązani jesteśmy publicznie im za takową podziękować. Czasopisma co do treści tak się rozdzielają: literackich 5, politycznych 2, technicznych 3 (z których jedno niemieckie). Ruch w bibljotece i czytelni był następujący: wypożyczono na 16 członków, 69 tomów dzieł technicznych i 55 tomów innej treści, czasopism zaś 719 numerów. — Najgłówniejszem zawsze dążeniem Towarzystwa jest nabywanie wszelkiemi sposobami dzieł naukowych, aby o ile można usunąć członkom trudności powstające przy posiłkowaniu się dziełami specjalnemi z bibljoteki politechnicznej. W tym celu Towarzystwo robi możliwe oszczędności i wszystko to obraca na książki naukowe. Jednocześnie także Towarzystwo zwraca uwagę baczną i nai to, aby członkowie wiedzieli o ruchu literackim i naukowym w kraju, oraz by mieli sposobność oprócz fachowego wykształcenia dążyć do możliwego zaokrąglenia swoich wiadomości ogólnych, co się osiąga w części przez prenumeratę odpowiednich czasopism, a w części także za pomocą dzieł treści ogólnej. — Posiedzeń ogólnie w ciągu półrocza było siedm. Przechodząc do najważniejszej części tj. do podstawy, na której każde stowarzyszenie się opiera, a więc do stanu kasy, takowy przedstawia się w następujący sposób: od 1 listopada 1865 r. do 1 maja 1876 r. przychody

wynosiły	431 M. 32 f.
rozchody wynosiły	402 M. 17 f.
zostaje zatem w kasie	29 M. 15 f.

Towarzystwo politechników pols. w Monachium jakkolwiek nie liczne, bo tylko z 15 członków złożone i niedawno założone, stara się wszelkiemi środkami postawić siebie na tym punkcie, na którym prawdziwa nauka i surowe pojecie obowiązków odnoszą istotną korzyść. Wytknąwszy sobie ten zakres działania bo tylko czysto specjalny, Towarzystwo postanowiło ten jeden cel w całym rozwoju osiągnąć, opierając się na zasadzie, że lepiej mało a dobrze, niż wiele a ladajako. Członkowie pojęli główną myśl Towarzystwa i w miarę możności zastosowują się do niej; łącząc zaś jednym węzłem koleżeństwa i wzajemnej w życiu pomocy, dają tem samem większą trwałość i podstawę istnieniu samego Towarzystwa. Oby i nadal ten sam duch ożywiał członków, oby i nadal zasada: „razem młodzi przyjaciele" była dla nich przewodnią gwiazdą w tej drodze!

w imieniu Towarzystwa Zarząd

Monachium dnia 13 maja 1876 r.

Odkrycia.

— W Schumberg, w górnej Krainie odkryto grotę, która zupełnie przypomina grotę Adelsberg. Przez dwa otwory można wejść pod sklepienie, ciągnące się prawie godzinę, a ozdobione i podparte stalaktytami. Obecnie pracują nad rozszerzeniem otworów i ułatwieniem wstępu wewnątrz groty.

Wojskowość.

— W Anglji robiono doświadczenia z nową kartaczownicą, której wynalazcą jest jakiś Szwed. Mordercze to narzędzie składa się z ośmiu rur obok siebie leżących. Strzelanie i nabijanie odbywa się za pomocą korby, której poruszenie wymaga bardzo mało siły, a jeszcze mniej czasu. Strzelec siedzi za kartaczownicą i kieruje nią według upodobania. Na 750 kroków tarcza po strzale wyglądała jak rzeszoto. W 2 minutach kartaczownica wyrzuciła 800 kul, z których ani jedna nie chybiła celu.

— Berliński arsenał ma być przeistoczony w Ruhmeshalle. Koszta będą wynosiły 6 miljonów marek, które będą wzięte z kontrybucji francuskiej.

ROZMAITOŚCI.

— Nic pewnie lepiej nie ilustruje znanego przysłowia o „tureckiej gospodarce,“ jak domowe stosunki samego Padyszacha. Dziennik francuski „Economiste français“ umieścił w ostatnich czasach na ten temat kilka wyczerpujących artykułów, z których wyjmujemy dla naszych czytelników szereg dat, tem bardziej obecnie ciekawych, gdy spróchniały tron Solimanów chwieje się niebezpiecznie, a uwaga całego świata na Konstantynopol zwrócona. — Pierwszy dostojnik pałacowy, quasi ochmistrz dworu, który ma poruczony nadzór nad tłumem sług, porządkiem wewnętrznym w pałacu, i t. p. pobiera rocznie za te czynności, nie bardzo go zresztą natężające, wcale pokaźną sumę 333.500 franków. Jemu podlegają równie szambelanowie, którzy atoli, mimo szumnego tytułu, pełnią na dworze tureckim służbę lokajów w całem znaczeniu, i od czasu do czasu gorzkie miewają przeprawy dzięki niestałemu humorowi wszechpotężnego władcy. Złajanie jeno gołosłowne liczą szczęśliwcy do pomyślnych wypadków, najczęściej bowiem cielesna chłosta przypada im w udziale, łagodniej, gdy ciemnica lub za lada drobnostkę haniebne wypędzenie ze służby, połączone przytem z wieloma innemi niedogodnościami. Raz n. p. zdarzyło się było, że jeden z tych szambelanów, ukazał się sułtanowi z kołnierzem koszulowym, wystającym trochę za wysoko w brew przepisom, z pod kołnierza surdutowego. Pomijając już, iż winowajca niezwłocznie wypędzony został z pałacu, wyszedł nadto rozkaz, że na przyszłość, celem uniknięcia popełnienia takiej zbrodni majestatu, szambelanom nie wolno nosić koszul w obrębie dworu. Drugi znowu, trochę leniwy w służbie, został za karę przydzielony do kapeli nadwornej, i choć wyobrażenia nie miał o muzyce, musiał grać na wyznaczonym mu instrumencie, i oczywiście, odbierał w dobrej dozie admonicje od nieżartującego bo o własną skórę dbającego kapelmistrza. Mimo to wszystko posada takiego szambelana, jest ideałem wielu wyznawców proroka, gdyż im przysługa przywilej, iż nominacje sułtańskie odnoszą pierwsi obdarowanym monarsza łaską, przyczem zyskują zawsze, a częstokroć nawet znaczne „trynkgeldy.“ Taki n. p. wicekról Egiptu rozdał był tym, którzy przynieśli mu byli rozmaite od sułtana koncesje, podarunki w wartości co najmniej 30.000 franków. Liczba szambelanów nie jest stale oznaczoną, a zmienia się rok rocznie prawie. Obecnie jest ich pięciu, pobierają zaś razem pensji 310.500 franków. Kancelerja przyboczna sułtana wymaga rocznej sumy 248.400 fr. Osoby, dozorujące porządku w apartamentach, otrzymują rocznie 37.360 fr. Mimo to, straszny nieład panuje w pałacu: jedne drzwi tylko na okaz, okna nie przystają do siebie szczelnie, meble wszędzie chwiejące, i choć widać na oko w każdym kącie zbytek bajeczny, wszystko trąci jakby zapowiedzią niedalekiej ruiny. Nadworny urząd płatniczy zabiera rocznie 60,000 fr. a przytem nie zna żadnej kontroli pod względem wielkich dochodów i wydatków. Astrolog jest zawsze jeszcze znaczną na dworze figurą, i za pensyjkę 13.800 fr. docieka z gwiazd tajemnic przyszłości, a zawsze pytany o wyrocznię, ilekroć padyszach poczuje się bodaj trochę cierpiącym. Z tego też powodu astrolog nadworny jest nader wpływową osobistością, której słów słucha pilnie zgraja nadworna z uszanowaniem i wiarą głęboką. Jakkolwiek Abdul-Azis dość skromnie zwykł się ubierać, przecież wydatki roczne na jego garderobę pochłaniają 129.720 fr. Uprzywilejowany golibroda JC. Mości dostaje pensję 5.520 fr. Atoli największą z wszystkiego rubrykę wydatków stanowią: jadło, kawa, tytoń i oświetlenie pałacu. Podziwienia godny apetyt padyszacha, jego szczególny gust do ciast różnego gatunku, owoców kandyzowanych itp. słodyczy wymagają wielkiej troskliwości w zaprowiantowywaniu cesarskiej spiżarni, i nie mało przysparzają kłopotów gubernatorom prowincyj i innym wysokim dostojnikom, których obowiązkiem pamiętać o wybrednem podniebieniu i żołądku władcy. A dodać trzeba, żo rzecz to nie lada, zadość uczynić życzeniom i gustom kapryśnego monarchy, tem bardziej, gdy większa część takich podarków *in natura*, ginie bez śladu już w drodze do spiżarni i piwnic. Z porządku rzeczy wypada, że pierwszy naczelnik kuchni, jest osobstością wysoko u dworu postawioną, z rangi wypada mu miejsce tuż zaraz po pierwszym szambelanie, a obowiązkiem jego: kosztować naprzód potrawy podawane sułtanowi, towarzyszyć mu na przechadzkach i w podróży, przewodzić w końcu dość niesfornej czeredzie kuchcików. Kuchnia sułtana dotowana rocznie sumą 110.860 fr. Ulubiony napój Turków, kawa, ma wyznaczone na liście cywilnej sułtana 91.080 fr. z czego wypada 22.080 fr. na pensje dla służby trudniącej się gotowaniem najprawdziwszej Mokki, a 69.000 fr. na zakupno ostatniej. Tytoń kosztuje rocznie 96.600 fr. Oświetlenie pochłania olbrzymią cyfrę 113.620 fr. gdyż co dzień rozdzielają w pałacu nie mniej jak 3.000 świec. Sądząc a priori z tego, co dotychczas wiadomem ogólnie o finansach tureckich wewnątrz i po za pałacem, można śmiało uwierzyć, że „Ekonomista francuski“ prawdziwe zestawił daty, a co dalej za tem idzie że życie wierzycieli W. Porty nie bardzo musi być przyjemne i pozazdroszczenia godne.

— W jednym z angielskich dzienników opisuje naoczny świadek ciekawy napad jastrzębi na młodego kangura, który miał miejsce w Australji. Z oddalenia kilkunastu kroków ujrzał on w polu kilka dużych jastrzębi, które raz siadały na drzewie, to znowu lotem strzały spadały na ziemię, a za chwilę potem wzlatały w górę. Postąpiwszy bliżej spostrzegł młodego, może dziewięciomiesięcznego kangura, który poruszając się niedołężnie na jednem miejscu, miał być upatrzoną zdobyczą drapieżników. W około niego siedziało z sześć dużych jastrzębi, a każdy z nich próbował co chwila atakować go dzióbem potężnym. Reszta siedzących na drzewie operowała w ten sposób, iż jeden po drugim zlatywał na dół i zakreślając maleńkie po nad ofiarą koło, tłukł ją silnemi skrzydłami. Atoli żaden nie rzucił się nań otwarcie, jeno widocznym był ich zamiar, spędzić niedoświadczone zwierzę z miejsca. To też gdy kangur poskoczył kilka kroków naprzód, natychmiast cała zgraja opryszków leciała za nim w tropy i biła go skrzydłami i kłóła dzióbami, nie kalecząc go zresztął bynajmniej. Ztrwożone zwierzę, w którąkolwiek stronę zwróciło się, wnet miało za sobą napastników, korzystających pilnie z każdej chwili czasu. W końcu biedny kangur dopadł drzewa, oparł się grzbietem o nie, i pewny był dobrego skutku z tego pomysłu. Zawiódł się jednak bardzo, gdyż wnet połowa wrogów otoczyła go znowu na ziemi, a druga ulokowała się na drzewie i obie wiodły dalej atak zawzięty. Teraz widz ów wyżej wspomniany, starał się zbliżyć do tego drzewa, atoli musiał przejść otwarty kawałek pola, i został naturalnie spostrzeżony od czujnych jastrzębi. Rozległ się w powietrzu przeciągły wrzask, wszystkie wzleciały w górę i zaczęły nad nim krążyć w wysokości nawet wcale małej. W oka mgnieniu, jakby z chmury zjawiła się zewsząd ogromna ilość jastrzebi, a wszystkie poczęły wirować z widocznym gniewem na zuchwalnika który przeszkodził im w zdobyczy pewnego łupu. Jak się spodziewać należało, nasz widz nie bardzo się troszczył temi gniewami, i ruszył dalej do drzewa, pod którem siedział biedny kangur, tak już snać wycieńczony i ogłuszony, że na trzy kroki pozwolił ku sobie przyjść człowiekowi. Po kilku minutach ocknął się i na ten niespodziany widok tak się ztrwożył, że odzyskał siły i wielkiemi susami pomknął w pole. Zaledwie jednak oddalił się na jakie 50 kroków, gdy jastrzębie znowu doń przypadły i walkę ponowną w poprzedni sposób poczęły. Kangur ubiegł drugie 50 kroków, schronił się znowu pod pierwsze spotkane drzewo atak zaś ptaków widocznie wzmagał się i ożywiał z każdą chwilą. Świadek ów zakończył relację tego wypadku temi słowy: „Na nieszczęście nie miałem broni palnej ze sobą, by strzałem odstraszyć rabusiów a po przeciągu pół godziny kangur pomykając naprzód, jastrzębie za nim, znikł mi z oczu. Z tego jednak co widziałem wnoszę niezawodnie, że zamiarem ich było takiem ściganiem i napastowaniem osłabić młode zwierzę, by potem gdy runie bezsilne, dobić je i rozszarpać dzióbami.“

— „Małe muchy dokuczać umieją i największym ludziom“ mówi stare przysłowie germańskie. Przekonał się o prawdziwości tych słów król Jakób I. któremu raz mucha uparcie to na nosie, to na uchu siadała, i żadną miarą odpędzić jej nie mogli od królewskiego oblicza usłużni dworacy. W końcu król, zmordowany bezskutecznem opędzaniem się, zawołał z głębokiem westchnieniem: „A! mój Boże, mam trzy królestwa, czyż nie możesz nigdzie sobie znaleźć miejsca, nieznośna mucho, tylko na mojej twarzy?“ Inne znowu przysłowie mówi bardzo trafnie: „że muchy są bezwstydnemi istotami, które nieproszone uczestniczą zawsze w objedzie.“ Potwierdza to autentyczna przygoda, która się wydarzyła była razu pewnego księciu Karolowi Wirtembergskiemu. Książę ten objeżdżając raz swoje państewko, stanął był kwaterą w domu wieśniaka, i podczas objadu miał tę przyjemność, zrozumiałą w chacie wieśniaka, że muchy dokuczały mu nieznośnie. „A, u licha — zawołał rozgniewany — nakryjcież gospodynio osobno dla much, bo mi zjeść objadu nie dadzą!“ Posłuszna kobieta nakryła w mgnieniu oka na drugim stole „dla much“ i stając przed księciem w pokornej postawie, rzekła ze spokojem: „Już nakryto; może Wasza KM. rozkaże teraz, by tam wszystkie muchy usiadły?“ Książę roześmiał się wesoło, i dalsze napastowania skrzydlatych natrętników znosił z rezygnacją. „Syte muchy kąsają mniej“ — mawiał cesarz Tiberius, spszeciwiając się częstym zamianom urzędników. Dawał tem do zrozumienia, że lepiej zostawiać urzędników na czas dłuższy na ich posadach, gdyż nasyceni już i zbogaceni dostatecznie mniej uciskać będą lud na prowincjach, niżeli świeżo mianowani, którzy przychodzą zwykle na posady z próżną kieszenią i zamiarem napełnienia jej rychłego. Wilją śmierci swojej rzekł cesarz Trajan do otoczenia: „Rozkazywałem królom, i mogłem każdej chwili pozbawić któregokolwiek lub obdarzyć tronem... jutro zaś niestety, nie będę w stanie nawet jednej muchy mizernej zpędzić sam sobie z twarzy.“ U Rzymian był zwyczaj że sześciu chłopców, z najpierwszych rodzin przebywało przy katafalku zmarłego cesarza, i zpędzało muchy z twarzy nieboszczyka. Zwyczaj ten zachowywany obecnie i u nas w każdym domu, z tą tylko różnicą, że funkcję tę spełniają dziady i babki kościelne.

— Przed kilką miesiącami postanowiła była pewna spółka angielska założyć kolej żelazną w Chinach, i to na niewielkiej przestrzeni, bo tylko pomiędzy Szangaiem a miasteczkiem Wusong. Po długich pertraktacjach otrzymała w końcu pozwolenie rządowe na budowę, a chcąc bezwłocznie do niej przystąpić, zakupiła pewną przestrzeń gruntów pomiędzy wspomnianemi miejscowościami. Jakież jednak było niebawem jej zdziwienie, gdy nagle ukazał się rozkaz rządu, zabraniający poddanym najsurowiej sprzedaży ziemi „czerwonowłosym barbarzyńcom!“ Mimo to, dwaj wieśniacy znęceni wielkim stosunkowo zyskiem, odważyli się postąpić wbrew zakazowi i odprzedali spółce swe kawałki. Wnet potem uwięziono abudwu, a władza poleciła wypłacić im tytułem zysku na interesie kolejowym, jednemu 2700 drugiemu 2000 kijów — n. b. trzciną bambusową, jak dla rodowitego Chińczyka się należy. Pierwszy, odbierając na szczęście zapłatę ratami, usalwował przynajmniej życie, drugi postradał je, gdyż nie wytrzymał całej dwutysięcznej chłosty. Rzecz oczywista, że akcje pomienionej spółki, kursujące w Pekingu spadły haniebnie. Mimo to wzmiankowana kolej, przyszła do skutku, i Anglicy pocieszają się nadzieją, że Chińczycy zagustowawszy w tej nowości, całe swoje państwo poprzecinają wkrótce kolejami.

Od Redakcji.

B. K. we Lwowie. Po otrzymaniu i odczytaniu będziemy mogli stanowczo odpowiedzieć; teraz nie sposób.

Tow. polskie br. pom. w Czerniowcach. Do tej chwili nie mogliśmy uczynić zadość żądaniu, dołożymy atoli starań by to nastąpiło w niedalekiej przyszłości.

P. w Tarnopolu. Oddaliśmy księgarni, która odeszle żądane książki.

Treść Nr. 22.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).